

Relacje Interpretacje

ISSN 1895-8834

Kwartalnik Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej

Nr 2 (82) czerwiec 2026



- Oko w oko z demonami XXI w.
- Cudowne lata 90.
- Fenomen Kociej Szajki
- Itaka prof. Ewy Chojeckiej
- Nostalgiczny komiks Piotra Burzyńskiego



Anna Rusinek

Suita tańców cieszyńskich


📷 Krzysztof Puda

Cykl sześciu grafik, wykonanych technikami aligrafii i litografii, przedstawia tancerki z Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej im. Janiny Marcinkowej w intymnym momencie przygotowań do koncertu. Prace ukazują więziotwórczą rolę zespołu – relacje budowane pomiędzy jego członkami poprzez wspólne działania artystyczne.




Temat numeru: Kreatywność

Okladka

Południca z projektu „Instalacje Słowińskiej Fantastyki”  Lucjusz Cykarski

Wkładka

Anna Rusinek *Suita tańców cieszyńskich*
 Krzysztof Puda

Słowo redaktora

1 Barbarzyński krzyk nad dachami świata
Agnieszka Miklar

Osobowość i pracowitość

2 Bohater nienapisanej powieści
Marek Bernacki

Malowidło ściennie w jednej z willi
Karola Korna
 Marek Bernacki



Wiedza i samodyscyplina

6 Wszędzie widzę teatr
Z prof. **Andrzejem Linertem**
rozmawiała **Magdalena Legendź**

Inteligencja i niekonwencjonalność


10 Jak wywołaliśmy demony z recyklingu
Paweł Więzik

Wrażliwość i niezależność

13 Słowo, które śpiewa
Agata Rucińska

Aspiracje i emocje

16 Na poligonie emocji
Z **Jackiem Popławskim**
rozmawiała **Małgorzata Irena Skórska**

Wernisaż wystawy Przedpokój
w Galerii Bielskiej BWA
 Krzysztof Morcinek



Oryginalność i artyzm

20 Komiks
Piotr Burzyński

Przedsiębiorczość i ryzyko

22 Gustav Molenda
Piotr Kenig

Otwartość i odwaga

27 Wrócić do siebie
Z prof. **Ewą Chojecką**
rozmawiał **Łukasz Giertler**

Intuicja i motywacja

32 Wehikuł czasu
Sebastian Balcerzak


Wyobraźnia i determinacja

35 Nigdy nie jesteśmy za starzy na bajki
Marek Bernacki

38 Kwartał ROK-u

Galeria/Wkładka

Sławomir Dobija. Z pasji do techniki i rękodzieła

 Alicja Młyniuk/BO Studio



RI Relacje Interpretacje

Kwartalnik Regionalnego
Ośrodka Kultury
w Bielsku-Białej
Rok XXI nr 2 (82) czerwiec 2026

Adres redakcji
ul. 1 Maja 8, 43-300 Bielsko-Biała
33 822 16 96, 507 482 634
redakcja@rok.bielsko.pl
www.ri.art.pl
 /RelacjeInterpretacje

Redakcja
Agnieszka Miklar
redaktor naczelna

Korekta
Maria Trzeciak

Projekt typograficzny,
opracowanie graficzne, DTP
Mirosław Baca

Wydawca
Regionalny Ośrodek Kultury
w Bielsku-Białej

Regionalny
Ośrodek
Kultury
Bielsko-Biała

ROK



Województwo
Śląskie

Regionalny Ośrodek Kultury
w Bielsku-Białej jest instytucją kultury
Samorządu Województwa Śląskiego

Druk
ZAPOL, Szczecin
Nakład 1000 egz.

Czasopismo bezpłatne
ISSN 1895-8834

Dofinansowano z budżetu
Miasta Bielska-Białej

BB Bielsko-Biała
Polska
Stolica
Kultury 

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji
Kultury

Barbarzyński krzyk nad dachami świata

Hasłem przewodnim czerwcowego numeru „Relacji–Interpretacji” jest kreatywność – pojęcie nieodzownie wpisane w kulturę, kolejna z czterech kluczowych kompetencji XXI w. Kreatywność to zdolność tworzenia czegoś nowego, oryginalnego. A więc: otwarty umysł, nieszablonowe myślenie, świeże spojrzenie, bunt przeciwko formie i konwencjom, podejmowanie ryzyka, adaptacja do zmian. I tak trafiamy w miejsce, gdzie wiedza i doświadczenie mogą okazać się przeszkodą. Jak rzekomo powiedział Albert Einstein: „Wszyscy wiedzą, że czegoś nie da się zrobić, aż znajduje się taki jeden, który nie wie, że się nie da, i on to robi”.

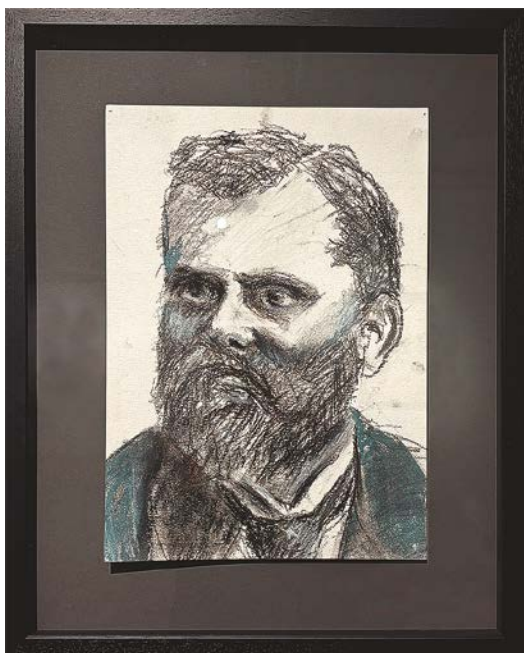
Przychodzimy na świat z ogromnym potencjałem twórczym. Jako dzieci, nieposiadające żadnej wiedzy teoretycznej, potrafimy w nowatorski sposób wykorzystać dostępne nam przedmioty, np. garnek może być perkusją, a gumki-recepturki – kolorowym makaronem. Niestety, wkraczając w dorosłość – za sprawą norm społecznych, kulturowych – hamujemy swoje twórcze zapędy. To nam wypada robić, a tego nie wypada; to nam wolno powiedzieć, a tego nie wolno *etc.* I zaczynamy opierać się na zdobytej wiedzy, doświadczeniach i... rutynie. Oczywiście, nie ma w tym niczego złego, dopóki nie zdominują one naszego sposobu myślenia i życia, prowadząc do banalizacji, konformizmu itd.

W kultowym filmie *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* Petera Weira z 1989 r. jest taka piękna scena, w której nauczyciel John Keating wchodzi na biurko i mówi: „Wszedłem tu, by pamiętać, że wciąż musimy patrzeć na wszystko w inny sposób. Świat stąd wygląda inaczej. Nie wierzycie? Sami zobaczcie! Kiedy myślicie, że coś znacie, spojrzcie na to z innej strony. Nawet jeśli wydaje się to głupie albo niesłuszne, trzeba spróbować! [...] Zdejmijcie klapki z oczu! Odważcie się ruszyć i odkryć nowy świat!”. I to jest właśnie klucz do kreatywności – perspektywa, która pozwala łączyć niezwiązane ze sobą idee, dojrzeć nowe możliwości.

Tu od razu przyszedł mi na myśl „but w butonierce” Bruna Jasieńskiego i słynne: „Zmarnowałem podeszwy w całodziennych spieszeniach, / Teraz jestem słoneczny, siebiepewny i rad. / Idę młody, genialny, trzymam ręce w kieszeniach, / Stawiam kroki milowe, zamaszyste, jak świat”. Futurystyczny poeta z dwudziestolecia międzywojennego w swoim, prowokacyjnym jak na tamte czasy, wierszu namawia do łamania konwencji, nonkonformizmu i eksperymentowania, sprzeciwu wobec systemu, poszukiwania nowych, prowadzących do rozwoju sztuki form ekspresji: „Idę młody, genialny, niosę BUT W BUTONIERCE, / Tym co za mną nie zdążą echopowiem: – Adieu! –”. Osiemdziesiąt lat później Pidżama Porno dośpiewała: „Masz tak jak ja w tyłu miejscach poklejone serce/ Aksamit i Dynamit / Marchef w Butonierce / Nasze serca myślą ich radary [...] / Złam tę zasadę! / Rozbij echo na atomy”.

Cóż więc dodać? Że bez odrobiny szaleństwa nie ma postępu? Kiedy uznaje się atakującego wiatrak Don Kichota za zwyczajnego idiotę, nie można pogrzebać jego idealizmu – marzeń, które wyprzedzają czas. I tak właśnie jest w wielu opisanych w tym numerze „Relacji–Interpretacji” przypadkach. Czy to spojrzymy na Karola Korna, który zbudował pół Bielska i pół Białej, czy na zakochanego w drewnie i technicznych nowinkach artystę ze Straconki. Kreatywność przybiera różne formy, ale zawsze w relacji do czasu, miejsca i innego człowieka*, wymagając codziennej pracy i troski. A więc, Drogi Czytelniku, mówiąc słowami Mirona Białoszewskiego, „wejdz i jak chcesz, to sobie to weź”. Twórczej lektury!

* Tu warto się zastanowić, jak w świecie współczesnej, globalnej kreatywności wygląda Bielsko-Biała? Jaki stosunek ma kreatywność do tego, co przeszłe? Czy nie wymaga przełamania pewnego konformizmu społecznego i nieulegania pokusom koniunkturalizmu? Zwłaszcza w sferze wyznaczonej przez zinstytucjonalizowaną kulturę, gdzie zagrożeniem jest nie tyle ciężąca tradycja, ile „sodowej wody pełny zlew” i błogostan samozadowolenia. Cytując klasyka: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi” – więcej dystansu i pokory.



Marek Bernacki

Bohater nienapisanej powieści

Czytałem ostatnio znakomitą powieść. Jej akcja rozgrywa się w niedużym, ale ładnym mieście, położonym w rozległej niecce u wylotu Kotliny Żywieckiej i otoczonym pasmami Beskidu Małego i Śląskiego. Na starym żydowskim cmentarzu, który cudem uniknął zniszczenia podczas II wojny światowej, dochodzi do seryjnych aktów dewastacji pomnika nagrobnego. Ktoś systematycznie niszczy miejsce pochówku znanego obywatela miasta Karola K. oraz jego małżonki Pauli.

Portret Karola Korna
autorstwa Mai Gordon
📷 Marek Bernacki

Karol K., urodzony w 1852 r., wyznania mojżeszowego, był człowiekiem majątnym i powszechnie szanowanym. Posiadał na własność niewielki kamieniołom we wsi sąsiadującej z miastem, cegielnię oraz tartak. Wykształcony na Politechnice w Karlsruhe oraz w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, obdarzony talentem architektonicznym i żyłką do biznesu, po powrocie w rodzinne strony założył firmę budowlaną, która w ciągu kilkunastu lat zmieniła oblicze miasta, zwanego odąd Małym Wiedniem. Zmarły przedwcześnie, bo w wieku zaledwie 54 lat, został pochowany z honorami należnymi pierwszemu budowniczemu miasta, zaplanowanego jako urbanistyczne dzieło sztuki.

prof. dr hab. **Marek Bernacki** – polonista, miłośnik, nauczyciel akademicki w Katedrze Polonistyki na Wydziale Humanistyczno-Społecznym UBB. Stale współpracuje z „Relacjami-Interpretacjami”.

Niestety, znana epicedialna formuła „Odpoczywaj w pokoju” akurat w jego przypadku nie znalazła potwierdzenia... Po raz pierwszy grób Karola K. został zbezczeszczonej przez „nieznanych sprawców” w czasie okupacji niemieckiej. Wiele lat po wojnie, dzięki staraniom miejskiego Towarzystwa Przywracania Pamięci, odnaleziono miejsce wiecznego pochówku tej jakże zasłużonej dla miasta postaci i postawiono pomnik nagrobny nawiązujący do formy żydowskiej macewy. W niedługim czasie po rekonstrukcji grobowiec

ponownie został zniszczony. Policji udało się zatrzymać grupę nieletnich chuliganów, którzy przyznali się do rozbicia płyt nagrobnych i wymalowania antysemitycznych haseł. Tym razem władze miasta w porozumieniu z miejscową gminą żydowską odbudowały pomnik, który również padł ofiarą wandalizmu. Historia powtórzyła się jeszcze kilka razy.

Po ostatnim incydencie odnaleziono zabezpieczoną przed deszczem plastikową folią kartkę papieru, na której widniał ułożony z wyciętych z gazet dużych liter napis: „Hańbę pomścimy! Nie spoczną nawet po śmierci!”. O pomoc w rozwikłaniu zagadki seryjnych aktów dewastacji grobu poproszono prywatnego detektywa Jacka P. Ten, wspierany przez uczynną i kompetentną prezes Towarzystwa Utrwalania Pamięci o Przeszłości Miasta – dr Ewę J., po kilku miesiącach wyczerpanej pracy wpadł na ważny trop. Okazało się, że do podobnych incydentów dochodziło także w innych miastach należących niegdyś do Cesarstwa Austro-Węgierskiego: w Wiedniu, Koszycach, Prešovie i Wadowicach! A trzeba wiedzieć, że wszędzie tam spoczywają bliźni i dalsi krewni Karola K.!

I na tym ta zmyślona przeze mnie historia urywa się – nie będzie dalszego ciągu, ponieważ nie ma takiej powieści! Blefowałem. Jak dotąd nikt nie podjął się napisania podobnego utworu i obawiam się, że takie dzieło nigdy nie powstanie. A wielka szkoda, bo aż prosi się, by sięgnąć po zapomnianą historię życia Karola Korna. Bo to właśnie on ukrywa się pod kafkowskim inicjałem bohatera nienapisanej powieści. Jak by nie patrzeć, był jednym z najważniejszych obywateli naszego miasta, który – piszę to w poczuciu głębokiego rozczarowania i zawodu – przez lata nie doczekał się należytego rozgłosu w mieście tak wiele mu zawdzięczającym...



zawdzięczamy w dużej mierze Karolowi Kornowi i założonej przez niego pod koniec XIX w. firmie budowlanej.

Po reakcji sali widzę, że studenci są tym faktem mocno zdziwieni. Chciałbym ich zachęcić, by zapoznali się z miejscami upamiętniającymi tego wybitnego obywatela i tu pojawia się problem. Poza maleńką tabliczką umocowaną przy wejściu do kamienicy przy ul. Mickiewicza 21 (gdzie obecnie ma swoją siedzibę Akademiczne Liceum Ogólnokształcące „Zenit”) oraz króciutką uliczką łączącą ul. Piastowską z ul. Żeromskiego, a noszącą imię architekta, żadnego większego śladu pamięci o wybitnym budowniczym miasta obecni jego władarze nie pozostawili!

Dekadę temu nakładem Wydawnictwa Naukowego Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej ukazała się publikacja popularnonaukowa *Czytanie miasta – Bielsko-Biała jako kulturowy palimpsest*². Byłem inicjatorem i współredaktorem tej książki. Napisałem wstęp oraz jeden z rozdziałów zatytułowany *Pomniki i tablice pamiątkowe w Bielsku-Białej. Próba typologii*. Po dziesięciu latach chciałbym przypomnieć czytelnikom „Relacji–Interpretacji” końcowy fragment tego tekstu: „Współczesne miasto Bielsko-Biała nie powinno zapominać o swej wieloetnicznej, wielowyznaniowej i wielojęzycznej przeszłości. Nie powinno wstydzić się, ignorować czy pomijać wybitnych Bielszczan pochodzenia niemieckiego, żydowskiego, czeskiego czy słowackiego, którzy przez stulecia, obok miejscowych Polaków, tworzyli tkankę łączną swojego – naszego miasta.

W Bielsku-Białej jest sporo miejsca dla nowych pomników, których rolą byłoby przywoływanie zapomnianej historii i unaocznienie wypieranej przez lata prawdy o wspólnej przeszłości. Innymi słowy, te nowo powstające pomniki, będące znakiem tego, co minione, stałyby się zarazem nośnikami pamięci symbolicznej, na której budowana byłaby tzw. historia drugiego stopnia, o której pisze w swoim artykule prof. Ewa Chojecka³. Mogłyby one stanąć w ważnych punktach miasta, na placach, parkach, skwerach, przy ulicach śródmieścia wyłączonych z ruchu

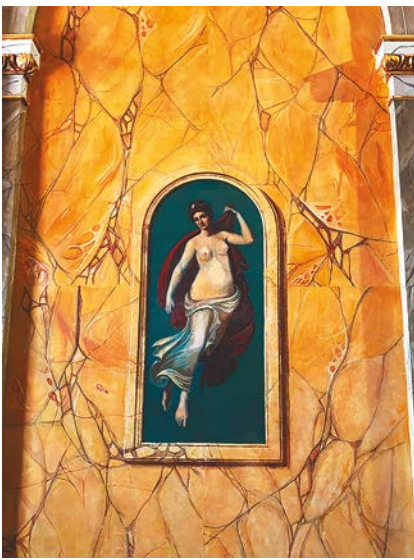
Kadr ze spaceru
Śladami Kornia
📷 Marek Bernacki

Jako pracownik Uniwersytetu Bielsko-Bialskiego od kilku lat prowadzę wykład dla studentów Wydziału Humanistyczno-Społecznego poświęcony historycznym, kulturowym i literackim kontekstom Zagłady. Lejtmotywnym jednym z modułów tematycznych jest opowieść o społeczności żydowskiej, mieszkającej do wybuchu II wojny światowej w Bielsku i Białej Krakowskiej. Za każdym razem temat ten omawiam w odniesieniu do znakomitej książki dra Jacka Proszyka *Życie według wartości. Żydowscy liberaliści, ortodoksi i syjoniści w Bielsku i Białej*¹. Przywołując postać Karola Kornia, pytam studentów, czy słyszeli kiedyś to nazwisko i czy z czymś im się kojarzy. W audytorium zasiada około stu młodych ludzi, większość z nich to Bielszczanie. Nikt się nie odzywa. Cisza. Wpatrują się we mnie w milczeniu. – A byliście państwo kiedyś na dworcu głównym w Bielsku-Białej? – pytam. – Oczywiście! – A kojarzycie ten ciąg secesyjnych kamienic znajdujących się przy ul. 3 Maja? – Tak. – A załatwialiście coś kiedyś w pięknie odnowionym gmachu Poczty Głównej przy Teatrze Polskim? – No pewnie! – A willę Teodora Sixta (tego z dramatu Artura Pałygi) i ten stojący naprzeciw pałacyk przy ul. Mickiewicza 21 podziwialiście kiedyś? Po dłuższej chwili kilka osób nieśmiało potwierdza, że znają oba te budynki.

Nie zadaję już więcej pytań, tylko zmierzam do konkluzji: – Wszystkie wymienione przeze mnie gmachy użyteczności publicznej i jeszcze wiele innych budowli

Dyrekcja i pracownicy spółki
budowlanej Kornia
📷 Archiwum Gminy
Wyznaniowej Żydowskiej
w Bielsku-Białej, Wikimedia
Commons





Willa Korna przy
ul. Mickiewicza 21
– malowidło ścienne
i fragment portalu

kołowego. Marzy mi się pomnik Jerzego Zitzmana siedzącego na ławeczce przed wejściem do Teatru Lalek Banialuka, na wzór Łódzkiego pomnika Juliana Tuwima czy krakowskiego pomnika Piotra Skrzyneckiego. [...] W śródmieściu jest sporo miejsca na pomnik Karola Korna, który na przełomie XIX i XX w. wybudował połowę gmachów użyteczności publicznej Bielska i Białej, takich jak dworzec kolejowy czy poczta, z których nadal my, Bielszczanie korzystamy. [...] Na początku XXI stulecia mieszkańcom Bielska-Białej, którzy śmiało patrzą w przyszłość, potrzebne jest mocne i pewne osadzenie w przeszłości, która powinna stać się naszą siłą i chlubą, a nie traumą spychaną w zbiorową podświadomość. Ta przeszłość, której widocznymi znakami w tkance miejskiej są pomniki, obeliski, popiersia i tablice pamiątkowe, nadal domaga się unaocznienia. Przeszłość, która jest dla przyszłości – prosi o głos, chce stać się żywą i obecną. My, Bielszczanie, powinniśmy wspólnie w roztrotny sposób podjąć to wyzwanie!⁴

Powyższe słowa pisałem w grudniu 2015 r., ufając, że ktoś je usłyszy, że się nimi przejmie. Po dekadzie wymownego braku odpowiedzi nie jestem już nawet umiarkowanym optymistą. Powiem więcej, obserwując politykę wizerunkową miasta szczytującego się tytułem pierwszej Polskiej Stolicy Kultury, bardziej uwierzyłbym w primaaprilisowy pomysł postawienia na Placu Bolesława Chrobrego ogromnego monumentu Reksia, aniżeli w wolę uwiecznienia w przestrzeni miejskiej budowniczego naszego Małego Wiednia.

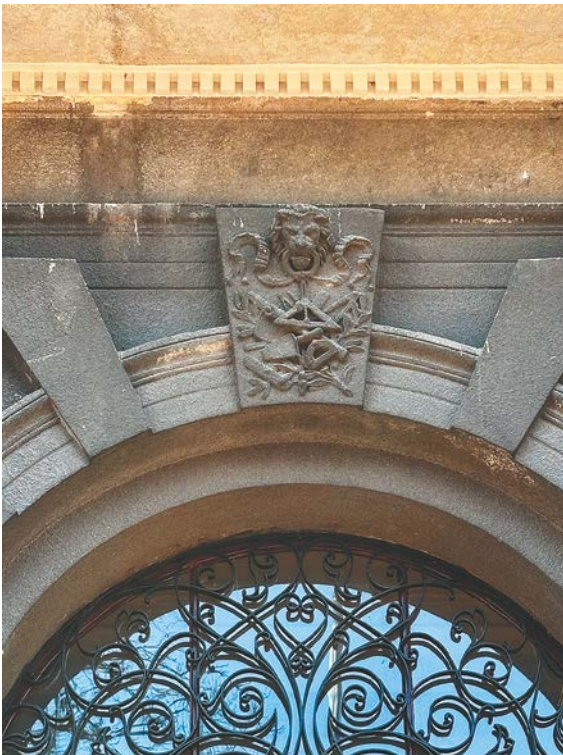
Pisząc te gorzkie słowa, do przysłowiowej łyżki dziegciu chciałbym mimo wszystko dodać kilka kropli miodu. W lutowym numerze „Pełnej Kultury” – ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, ale i radości – przeczytałem informację o czasowej wystawie w Muzeum Historycznym poświęconej budowniczemu Bielska i Białej. W tym samym numerze periodyku zamieszczono także anons dotyczący dwóch wydarzeń, których akuszerką była pani dr Ewa Janoszek, wybitna znawczyni bielsko-bialskiej ar-

chitektury i popularyzatorka wiedzy historycznej o dwumieście nad rzeką Białą. Ale o tym za chwilę...

Na Zamek Sułkowskich wybrałem się z nadzieją, że zobaczę coś, co w znacznym stopniu poszerzy moją wiedzę o Karolu Kornie. Niestety, ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu rzeczona wystawa okazała się w rzeczywistości zaledwie „wystawką”, sprowadzoną do (*sic!*) jednej jedynej przeszklonej, staromodnej gabloty, w której zgromadzono kilka dokumentów związanych z życiem i działalnością głównego architekta miasta⁵. Ekspozycji towarzyszył artykuł dr Ewy Janoszek, opublikowany na łamach „Muzealnych Wiadomości”⁶.

Wspomniane wcześniej dwa inne wydarzenia okazały się dużo ciekawsze. Pierwszym z nich był wykład dr Ewy Janoszek *Korn i synowie. Saga rodzinna* z pokazem slajdów w Klubokawiarni Aquarium (12 lutego 2026). Wieczorową porą w niewielkiej sali zgromadziło się kilkadziesiąt osób, które z wielkim zainteresowaniem słuchały opowieści o pogmatwanych losach żydowskiej rodziny Kornów z galicyjskich wówczas Wadowic. To z tego miasta nad Skawą młody Karpel (tak pierwotnie brzmiało jego imię) wyruszył w świat, by zdobyć wykształcenie i ogładę. Po krótszych i dłuższych pobytach w Opatowie, Karlsruhe, Wiedniu i Brnie zjechał wraz z żoną i dziećmi do Bielska. Pierwszym zrealizowanym przez niego zleceniem była przebudowa najstarszego ewangelickiego Kościoła Zbawiciela na tzw. Bielskim Syjonie. Następnie zajął się projektowaniem bielskiej synagogi postępowej, by w roku 1883 zamieszkać w pałacyku przy ówczesnej Elisabethstrasse 21 (ul. Mickiewicza), wzniesionym według własnego projektu, ze zdobioną fasadą nawiązującą do stylu niderlandzkiego renesansu. Przez najbliższe 20 lat firma budowlana tego uzdolnionego architekta w znacznym stopniu ukształtowała urbanistyczną tkankę naszego miasta, a on sam dorobił się kilku własnych kamienic.

Jak pisze dr Ewa Janoszek: „Biuro architektoniczne Karola Korna szybko wyrobiło sobie markę, prowadząc budowy większości reprezentacyjnych miejskich obiektów, wznosząc kamienice i wille znanych osobistości oraz wiele budynków fabrycznych nie tylko w Bielsku, ale i w innych miastach Śląska Austriackiego. [...] Sygnatura bielskiego budowniczego pojawia się na planach willi Theodora Sixta, siedziby Komunalnej Kasy Oszczędności czy bialskiej synagogi. Piętno jego stylu, czerpiącego obficie z form neorenesansowych, odcisnęło się na wygładzie reprezentacyjnej alei prowadzącej do dworca (obecnie ul. 3 Maja), gdzie stanęło dziewięć jego



budowli, w tym cały ciąg kamienic od nr 19 do 25, pałacyk Michla i hotel Kaiserhof”⁷.


Warto nadmienić, że Karol Korn, sam będąc wyznania mojżeszowego, nie stronił bynajmniej od współpracy z wyznawcami innych religii, czego przykładem jest wspomniana wcześniej przebudowa kościoła przy Placu Marcina Lutra czy bardzo udany pod względem architektonicznym neogotycki Kościół pw. Narodzenia NMP w Porąbce, wzniesiony w latach 1904–1907. Ostatnią wielką i ważną budowlą, zaprojektowaną przez Bielszczanina, była siedziba miejskiego sądu i starostwa przy dzisiejszej ul. Słowackiego (nieopodal „Kubiszówki” i Książnicy Beskidzkiej). To za projekt tego monumentalnego gmachu otrzymał z rąk cesarza w 1905 r. zaszczytny tytuł c.k. radcy budowlanego. Niestety, wkrótce potem zmarł⁸.

Śmierć wybitnego architekta nie oznaczała jednak końca działalności firmy, której spadkobiercami zostali jego utalentowani synowie. „W latach międzywojennych trzech synów Karola Korna kontynuowało budowlaną działalność, zakładając spółkę akcyjną Karl Korn Baugesellschaft. Fritz i Otto prowadzili filię w Wiedniu, natomiast w rodzinnym mieście pozostał Feliks [...] Jego budowle, sygnowane imieniem słynnego ojca, w dużej mierze ukształtowały architektoniczny pejzaż przedwojennego miasta”⁹, podkreśla dr Ewa Janoszek.

Należy wspomnieć, że zorganizowany w przestrzeni Bielskiej Galerii BWA wykład dr Ewy Janoszek korespondował z prezentowaną w tym czasie ekspozycją dzieł Mai Gordon *Pamięć obrazów jest obrazem pamięci* (23 stycznia – 1 marca 2026), której lejtmotywnym było „tworzenie mitów na temat związków pamięci z tożsamością”¹⁰. Jak napisał jeden z kuratorów, Andrzej Wajs: „Wystawa jest próbą opowiedzenia historii pewnego miasta i historii kobiety. Współczesną artystkę i architekta Karola Korna, żyjącego na przełomie XIX i XX w., łączy rodzinne pokrewieństwo. Życiorys artystki i historię budynków projektowanych przez architekta zespala motyw egzystencji pozbawionej ciągłości – pofragmentowanej przez wojny i wymuszone migracje. Karol Korn zaprojektował wiele ważnych budynków, które do dziś kształtują tkanekę miejską Bielska-Białej, ale również te, których już nie ma, jak zniszczone przez nazistów synagogi”.

Wielkim zainteresowaniem cieszyła się także wykładka *Śladami Karola Korna* (28 lutego 2026). Podczas spaceru ulicami Mickiewicza, Dąbrowskiego, Słowackiego, Sixta, Przybyły, 3 Maja, Barlickiego, 11 Listopada i ks. Stanisława Stojalowskiego grupa ponad stu osób

wsluchiwała się w niezwykle ciekawe i fachowe opowieści dr Ewy Janoszek, poświęcone w głównej mierze opisowi architektonicznych detali i ornamentów kamienic, wznoszonych na przełomie XIX i XX w. według projektów Karola Korna.

Chodząc nieśpiesznie ulicami Bielska, zaprojektowanego w XIX w. jako urbanistyczne dzieło sztuki¹¹, i przyglądając się przepięknym detalom kamienic, o których z tak wielkim emocjonalnym zaangażowaniem i fachowością opowiadała dr Ewa Janoszek, pomyślałem, że bardzo dobrą puentą obchodów pierwszej Polskiej Stolicy Kultury byłoby wydanie przez władze miasta przewodnika *Bielsko-bialskim szlakiem architektury Karola Korna 1880–1939*. Ta publikacja – opublikowana w 120. rocznicę śmierci wybitnego Bielszczanina – miałaby walor historyczny, estetyczny i dydaktyczny. Pokazywałaby też tym, którzy nasze piękne miasto odwiedzają, na wskroś europejski wymiar bielsko-bialskiego Małego Wiednia. Zachęcam do przemyślenia mojej propozycji, żywiąc nieśmiałą nadzieję, że nie okaże się ona kolejnym wołaniem na puszczy bujającego w obłokach humanisty... 



Pieczęcie firmy Korna

 Marek Bernacki

¹ J. Proszyk, *Życie według wartości. Żydowscy liberałowie, ortodoksi i syjoniści w Bielsku i Białej*, Jaworze 2012. Zob. M. Bernacki, *Atlantyda przywrócona (o książce Jacka Proszyka „Życie według wartości...”)* [w:] „Kalendarz Beskidzki”, Bielsko-Biała 2014, s. 273–276.

² *Czytanie miasta. Bielsko-Biała jako kulturowy palimpsest*, red. M. Bernacki, R. Pysz, Bielsko-Biała 2016.

³ E. Chojecka, *Bielsko i Biała – miejsca wielorakich pamięci* [w:] *Czytanie miasta...*, s. 9–23.

⁴ M. Bernacki, *Pomniki i tablice pamiątkowe w Bielsku-Białej. Próba typologii* [w:] *Czytanie miasta...*, s. 203–204.

⁵ Wystawa *Miniatury historyczne – Karol Korn. Portret architekta z rodziną w tle* (kuratorzy: dr Ewa Janoszek, dr Grzegorz Madej) dostępna była dla zwiedzających w dniach od 2 grudnia 2025 do 1 marca 2026 r. Gwoli sprawiedliwości należy wspomnieć o wcześniejszej, bardzo ciekawej ekspozycji *Perły architektury Bielska i Białej w świetle archiwaliów ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków*, która miała miejsce w dniach od 18 kwietnia do 15 września 2024 r. Zaprezentowano m.in. projekt Komunalnej Kasy Oszczędności Karola Korna z 1888 r. oraz projekty ciągu kamienic przy obecnej ul. 3 Maja, wytyczonej w roku 1889, już po wzniesieniu budynku nowego dworca kolejowego w Bielsku.

⁶ Zob. E. Janoszek, *Karol Korn. Portret architekta z rodziną w tle. 160 lat gminy żydowskiej w Bielsku* [w:] „Muzealne Wiadomości. Informator Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej” 2025, nr 4, s. 6–7.

⁷ E. Janoszek, *Karol Korn. Portret architekta...*, s. 6–7.

⁸ Karol Korn odszedł 20 stycznia 1906 r. Z zachowanego aktu zgonu, wystawionego przez gminę żydowską w Bielsku wynika, że przyczyną jego przedwczesnej śmierci była niewydolność serca i nerek.

⁹ E. Janoszek, *Karol Korn. Portret architekta...*, s. 7.

¹⁰ Wystawę można było oglądać od 23 stycznia do 1 marca 2026 r.

¹¹ E. Chojecka, *Architektura i urbanistyka Bielska-Białej do 1939 roku. Miasto jako dzieło sztuki*, Bielsko-Biała 1994.



Magdalena Legendź

Wszędzie widzę teatr

Za wybitną dotychczasową działalność prof. Andrzej Linert został uhonorowany Ikarą 2025, Nagrodą Prezydenta Miasta Bielska-Białej w dziedzinie kultury i sztuki. Statuetkę i gratulacje od władarzy dwumiasta odebrał 16 lutego 2026 roku w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.

„Tu dzisiaj na scenie razem ze mną stoi pokolenie z ludzi 1933–1939, którzy walczyli o polski teatr. Mam również w głowie osoby, które po wojnie organizowały to miejsce. Był to teatr Schillera, Osterwy, a może jeszcze i Stanisławskiego. A później było całe pokolenie, które tworzyło naprawdę dobry teatr w Bielsku. On nie był najwybitniejszy, ale zawsze miał dobry poziom. Nie wiem, na czym to polegało? Czy to austriacka tradycja, czy może *genius loci* tej wspaniałej budowli? Kiedy ostatnio tworzyłem drugi tom *Teatru Apollina i jego muz*, cały czas towarzyszyła mi świadomość tego, że buduję fundamenty pod kolejne tomy dziesięcioleci tego teatru. Pamiętajcie, mnie nie będzie, ale muszą się uka-

Magdalena Legendź

– teatrolożka, recenzentka, felietonistka, redaktorka książek i czasopism. Absolwentka teatrologii UJ. Stale współpracuje z „Relacjami–Interpretacjami”.

zywać kolejne tomy co 10 lat. Ten teatr stoi zawsze na straży społecznej. Podejmuje trudne pytania. Nie pozwala nam zasypiać w jakimś samopoczuciu dobrobytu. On mnie niepokoi czasami, ale to jest mądry teatr. To na pewno zasługa dyrektora, który zaprasza tutaj wybitnych twórców. Oni wspierają teatr, a zarazem wspierają nas, bo to jest nasza wartość. Z tym przeświadczeniem, drodzy państwo, odbieram tę zaszczytną nagrodę”, mówił laureat.

Prof. Andrzej Linert to badacz dziejów teatru polskiego i europejskiego, emerytowany wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest autorem około 20 książek (z czego sześć poświęcił życiu teatralnemu Bielska-Białej), monografii m.in. o Teatrze Śląskim w Katowicach, Teatrze Nowym w Zabrze oraz artystach (Rudolfie Luszczaku, Mieczysławie Daszewskim czy Bernardzie Krawczyku). Praca *Teatr i polityka* (1987) przyniosła mu nagrodę miesięcznika „Scena”. Jego publikacje, zawierające wnikliwe analizy ideowe i artystyczne, ukazujące teatr jako żywy organizm, były dostrzegane i nagradzane, m.in. nagrodą Ministra Edukacji Narodowej i Sportu (2002) i Nagrodą im. Karola Miarki (2013).

Monumentalna monografia bielskiego Teatru Polskiego, na którą składają się: *Teatr Polski w Bielsku-Białej 1945–2000* (2001) i dwutomowy *Teatr Apollina i jego muz. Teatr Polski w Bielsku-Białej 2000–2015* (2015) i *Teatr Polski w Bielsku-Białej 2015–2025* (2025), bezcenna pozycja dla miłośników i historyków teatru, została szczególnie doceniona i wyróżniona. Drugi tom tej publikacji, który autor przygotował z okazji 135-lecia teatru, jest barwną kroniką ostatniej dekady działalności bielskiej sceny.

Magdalena Legendź: Zanim zajął się Pan naukowym pisaniem o teatrze, zetknął się Pan z teatrem, jak wielu z nas, zapewne dużo wcześniej. Proszę powiedzieć, jakie były te pierwsze doświadczenia teatralne?

Andrzej Linert: To aż nieprawdopodobne, ale gdziekolwiek dotknę mojego życia, wszędzie pojawia się teatr. Weźmy jeden przykład. Akcja toczy się w latach 1948–1949. Mój ojciec jest organistą w kościele w Komorowicach, dziś dzielnicy Bielska-Białej, i gra na sumie. Ja nie wiem, co to suma, ale wyobrażam sobie, że na sumie, czyli w moim rozumieniu na słomie, ludzie w kościele słuchają mszy. Przynoszą snopki i na nich siadają. Na te sumy przychodzi też mój ojciec chrzestny Alojzy Gleic – nieprzeciętna osobowość, przed wojną oficer oddziału II sztabu generalnego (czyli wywiadu), po wojnie

dyrektor Polfy, zakładu produkcji materiałów opatrunkowych na granicy Czechowic i Komorowic. Znał sześć języków. Był niezwykle poważanym człowiekiem i wywierał na mnie ogromny wpływ. Strasznie chciałem iść z nimi na tę sumę, ale mnie nie zabierali!

Przyjeżdżali też na te msze kuzyn ojca Józef Chrobak z Rudolfem Luszczykiem, kierownikiem Sekcji Dramatycznej, czyli w zasadzie dyrektorem teatru. Dodam dla porządku, że Sekcja Dramatyczna Teatru Polskiego powstała w 1935 r. To było prężne środowisko, w którym m.in. działali Janina i Władysław Koterbscy – rodzice Marii, przyszłej piosenkarki. No więc, po mszy ojciec zapraszał gości na jajecznicę i rozmawiali o różnych teatralnych sprawach. A ja siedzę tam, może na kolanach u chrzestnego, może pod stołem, i nasłuchuję, chłonę niecodzienną atmosferę. W tej zwykłej, biednej, zablóconej miejscowości pojawia się teatr w postaci tak ważnych, w moim pojęciu, osób.

No tak, wieki świat. Ale to wszystko było teatrem wyobraźni, dopiero potem zaczęły się rzeczywiste spotkania z teatrem. Jakie one były?

Te spotkania sprawiły, że moja matka została zarażona teatralnym bakcyłem i zaczęła chodzić do teatru. Nie patrzyła, czy to przedstawienie dla dzieci, czy nie, i zabierała mnie ze sobą na tzw. spektakle nauczycielskie. Bilety były tańsze, a w ostatnim rządzie jeszcze tańsze. Nasz problem polegał na tym, że widowiska kończyły się w porze odjazdu ostatniego pociągu do Komorowic, dlatego nigdy nie oglądaliśmy ich do końca.

Wtedy zrodził się we mnie głód wiedzy: chciałem dokładnie wiedzieć, jakie było zakończenie, o co w tym przedstawieniu ostatecznie chodziło. Gdy za dyrekcji Aleksandra Gąsowskiego teatr był w remoncie, spektakle odbywały się na strzelnicy, czyli w dzisiejszym BCK-u. Pamiętam takie zdarzenie. Jakiś staruszek chodzi po scenie, rządzi się tam; kogoś gra, mama mówi, że Kościuszkę. Ja nic nie rozumiem, ale mi się podoba. I w pewnym momencie ten staruszek przerywa grę i zwraca się do widzów: „Wy z ostatnich rządów, chodźcie tu do przodu, bo tu są miejsca, nam się będzie lepiej grało”. Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. I tak właśnie zapamiętałem wybitnego aktora Ludwika Solkiego.

Rzeczywiście w pierwszej części monografii Teatru Polskiego odnotowuje Pan, że na bielskiej scenie sędziwy Solski grał w latach 1949–1951, m.in. w sztuce *Kościuszek w Berville*. Pewnie widział Pan też inne gwiazdy przedwojennego teatru? Całkiem sporo w latach powojennych pojawiło się ich w naszym mieście.

W Bielsku znalazła się grupa znakomitych aktorów, którzy w czasie wojny mieli „przygodę” z teatrem niemieckim: Maria Bogda, Adam Brodzisz, Maria Malicka, Kazimierz Fabisiak, Kazimierz Szubert. W ich wykonaniu można było zobaczyć kawał prawdziwej sztuki aktorskiej, ale wówczas nie zafascynowali mnie tak, jak Solski, dzięki któremu mogłem chłonąć przedstawienie w pierwszym rzędzie.

A przedstawienia dla dzieci? Chodził Pan do Baniałuki? Oczywiście, zanim zaczął Pan tam pracować w latach 1974–1981 jako kierownik literacki.

Przedstawienia dla dzieci nie zapadły mi w pamięć, poza *Darami wiatru północnego* w reżyserii Leopolda Dutkiewicza. Pamiętam, że bardzo przeżywałem, gdy wiatr rozwiał mąkę i współczułem bohaterom, że nie będą mieli co jeść.

Wróćmy jednak do niedawno opublikowanej, kolejnej części Pańskiej monografii Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, monumentalnego, wyczerpującego dzieła nagrodzonego Ikarom 2025. Odnotowuje tam Pan setki przedstawień. Czy mamy rozumieć, że obejrzał Pan wszystkie spektakle, które mieszczą się w tych trzech tomach?

Prawie wszystkie. Systematycznie bywam w bielskim teatrze od czasów dyrekcji Józefa Pary, a nawet Andrzeja Uramowicza, który skończył swoją kadencję w 1963 r.

Andrzej Linert podczas gali wręczenia Ikarów

☒ Paweł Sowa/Wydział Prasowy UMBB



I samo „bywanie” w teatrze wystarczy, żeby o tych przedstawieniach pisać?

O jednym spektaklu można napisać opasły tom, a tu, opisując poszczególne widowiska, musiałem zmieścić się w kilku zdaniach. Gdy pochylałem się nad ostatnim dziesięcioleciem, za każdym razem szukałem dokumentów potwierdzających: recenzji, zdjęć, opinii, innych sprawdzalnych faktów. Jeśli dla przykładu piszę: „spektakl cieszył się sporym powodzeniem”, to mam na to potwierdzenie w postaci ośmiu recenzji; gdy piszę, że cieszył się dużym powodzeniem, recenzji mam już 15.

Bez znajomości kontekstów o przedstawieniu nie można nic powiedzieć. Dlatego, jeśli opisuję spektakl, to interesuje mnie historia realizacji tej sztuki od czasów prapremiery. Muszę odtworzyć wszystkie rozwiązania dotychczasowych wystawień, wszystkie warstwy artystyczne. Przeanalizować, jak się ma ten spektakl do całej tradycji. Muszę wiedzieć, jakie elementy są w nim nowe, niepowtarzalne albo nieznanne dotychczas, na nowo odczytane. To jest o tyle trudne, że ten sposób postępowania muszę odnieść jednakowo do reżyserii, interpretacji roli, plastyki, ruchu, muzyki. Wszystkie te środki teatralne decydują o tym, czy spektakl jest dobry, czy zły. Ale to i tak jest wyłącznie moja ocena.

Z jednej strony jest Pan naukowcem, z drugiej – krytykiem, człowiekiem teatru. Czy w swoim pisaniu o bielskim teatrze oddziela Pan obiektywizm kronikarza od subiektywizmu recenzenta?

To jest w ogóle trudna sprawa, bo my przecież nie mamy jednego wzorca, żadnych obiektywnych norm oceny sztuki teatru. Nie ma czegoś takiego jak obiektywizm w pisaniu o teatrze. Pisząc, reprezentuję przede wszystkim samego siebie. Mogę jedynie zbliżyć się, bardziej lub mniej, do czegoś, co można nazwać prawdą. Bo co to jest prawda? Prawda jako taka nie istnieje! Staram się jednak eliminować wszelkimi siłami ten „mój” pierwiastek, stąd liczne przypisy czy obfite cytowanie głosów recenzentów i teatralnej krytyki. Mimo wszystko staram się akcentować, że nie jestem wyrocznią. Przecież na temat tego, co działo się w teatrze w ostatnim dziesięcioleciu, ja mam inny pogląd, Pani inny, a dyrektor teatru może mieć jeszcze inny – zwłaszcza w przypadku wypowiedzi krytycznych.

Przedstawienia powstają w otocze życia teatralnego, które nie zawsze biegnie miło, gładko i przyjemnie. Czy uważa Pan, że ten aspekt również należy opisywać?

Nie da się tego oczywiście ściśle rozdzielić, ale do spraw pozaartystycznych nie mam sentymentu. Jeśli za

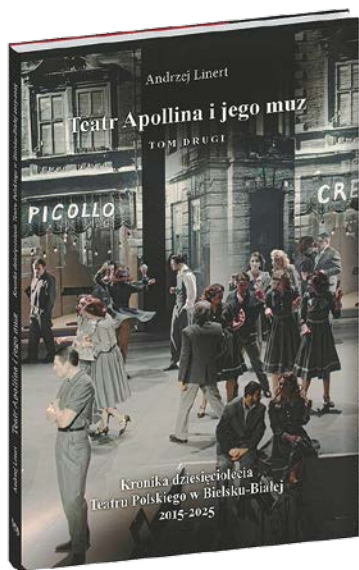
50, 100 lat, przyszłe pokolenia będą chciały się o nas czego dowiedzieć – jakie były nasze problemy, upodobania, aksjologia, skala wartości – to nie dowiedzą się tego z okołoteatralnych rzeczy. Raczej będą szukać poprzez scenę, wyraz artystyczny i ideowy uprawianego przez nas teatru. To nie jest prawda, że gdy spada kurtyna, przedstawienie umiera. Wszystkie kolejne pokolenia dyskutują z minionymi. My cały czas odczytujemy i rozmawiamy z Szekspirem, Moliere, Mickiewiczem, Wyspiańskim. Współczesność sięga do przeszłości i to jest cenne. Oczywiście istnieją odbiorcy, których interesuje plotka, niedomówienia, złośliwości i to jest nośne. Kogo to będzie interesowało za 100 lat? Zostają przedstawienia najwybitniejsze, najciekawsze i właśnie te staram się akcentować – te, które przydadzą się komuś, kto będzie chciał się o nas czegoś dowiedzieć. Raczej nie będzie szukał recenzji, szperał po archiwach – stąd moja zasada inkrurowania tekstu recenzjami.

Dyskurs z naszymi przodkami to jedno, ale od kontekstu życia politycznego nie uciekniemy. Czy myśli Pan, że teatr jest teraz bardziej polityczny niż kiedyś?

Polityczny nie, ale może śmiało poruszać wątki polityczne. Ostatnią opisywaną przeze mnie dekadę otwiera musical polityczny *Sześć wcieleń Jana Piszczyka* w reżyserii Wojciecha Kościelniaka, a niemal zamykają *Diabły* Mai Kleczewskiej – opowieść o fanatyzmie i walce politycznej. W każdym okresie istnienia bielskiego teatru takie przedstawienia się pojawiały. Przykładowo za Józefa Pary mocny oddźwięk polityczny miała *Kartoteka i Persowie*, za Roberta Talarczyka *Żyd, Bitwa pod Nanggar Khel* czy *Miłość w Königshütte*.

To jest trudna linia repertuarowa, bo łatwo osunąć się w doraźność, publicystykę, ale z drugiej strony oczekiwana przez publiczność. Jeśli coś nam, widzom, doskwiera – cynizm, nieuczciwość, zakłamanie klasy politycznej – oczekujemy, że ktoś w naszym imieniu te sprawy podejmie. Niekoniecznie w repertuarze współczesnym. To przecież wybitny badacz i teoretyk teatru Jan Kott mówił przed laty, że dożyliśmy wstydlivych czasów, w których cała twórczość Szekspira jest aluzją do Polski Ludowej! Od kogo, jak nie od artystów – bez naruszania naszego osobistego bezpieczeństwa – możemy oczekiwać odwagi w wypowiedzianiu tego, co nas boli i piecze?

Przeglądając wszystkie trzy tomy monografii, można znaleźć porządkujące określenia na kolejne dekady: teatr użyteczny, teatr wartości, teatr etosu, teatr przyjazny itd. Która z tych formuł jest dla Pana ważna? Krótko mówiąc, jaki teatr jest Pana teatrem?





Spotkanie promujące książkę *Teatr Apollina i jego muz*
 Marta Radwaniak/Teatr
 Polski w Bielsku-Białej

Jako widza najbardziej interesuje mnie teatr problemowy, poruszający sprawy, których ja sam z sobą nie mogę poukładać. Z drugiej strony, takiego emocjonalnego pobudzenia i takiej fascynacji, jak na przedstawieniach Jana Dormana, nie przeżywałem nigdzie indziej. W spektaklu musi być bowiem jakaś tajemnica, niedopowiedzenie; znaki zapytania, które wynikają ze spraw najważniejszych, egzystencjalnych, a na które człowiek nie dostał odpowiedzi, ale wciąż ich szuka. Czy jest wytłumaczenie naszej egzystencji, takie sensowne, które moglibyśmy wziąć za własne? Obracamy się w kręgu wiary i zarazem w kręgu rzeczywistości – i jak to pogodzić? I nie chodzi o to, że teatr nie jest po to, żeby człowiek odpoczął, rozerwał się, zabawił. Nie, przeciwnie. Podejmowanie prób odpowiedzi na te najważniejsze pytania uważam za sens istnienia teatru.

Czy Pana zdaniem Teatr Polski w swojej historii te pytania stawiał?

Właściwie za każdej dyrekcji można by takie przedstawienia znaleźć. Rozmawiałem kiedyś z Witoldem Nawrockim, krytykiem i eseistą, i on mi tak o bielskim teatrze powiedział: „Wiesz, Andrzej, nie wiem, na czym to polega, ale ten teatr zawsze broni się takim średnim, dobrym poziomem”.

Co po tak imponującym dziele, jak monografia bielskiego teatru, ma Pan teraz na warsztacie?

W kręgu moich zainteresowań jest też działalność teatralna czasów wojny i okupacji, której poświęciłem m.in. takie publikacje, jak *Teatr dipisów w Lubece* (2023) czy *Ludobójstwo i teatr. Z teatralnego kalendarium garnizonu SS w KL Auschwitz-Birkenau* (2025). Pisanie o tym skłoniło mnie do przyjrzenia się fragmentowi mojej rodzinnej historii, która ma pewne punkty styczności z oświęcimskim obozem. Niebawem ukaże się niewielka, ale ważna dla mnie książka pt. *Z pomocą więźniom KL Auschwitz. Z Komorowic pod Bielskiem do Brzeszcz-Boru*. Opisuję w niej m.in. zaangażowanie młodych kobiet z moich rodzinnych Komorowic, w tym Heleny Kraus i Matyldy Pikoń, mojej matki, w dostarczanie rzeczowej pomocy więźniom obozu. Matylda, od stycznia 1941 do listopada 1943 r., przeciętnie co tydzień, dowoziła do Brzeszcz żywność, lekarstwa, zastrzyki, a zimą również ciepłą odzież, które otrzymywała od mieszkańców Komorowic. Chciałbym tych ludzi i ich postawy ocalić od zapomnienia.



Paweł Więzik

Jak wywołaliśmy demony z recyklingu

Beskidy mają w sobie coś magnetycznego, co sprawia, że nie dają o sobie zapomnieć. Możesz stąd wyjechać, możesz rzucić się w wir wielkomięskiego życia, ale góry i tak upomną się o swoje. Moja droga twórcza – od młodzieńczej energii hip-hopowych składów, przez poezję i precyzyjne rzeźbienie w słowie, aż po powieści takie jak *Dreszcze Beskidów* czy *Klimczoka krzyk* – zawsze krążyła wokół tego samego jądra: lokalnego mroku, który drzemie pod grubą warstwą mchu, historii i niedopowiedzeń.

Jednak droga od pomysłu do realizacji projektu „Instalacje Słowiańskiej Fantastyki” nie wiodła przez malownicze hale, lecz przez gąszcz dokumentacji. Razem z Lucjuszem Krzysztofem Cykarskim podjęliśmy wyzwanie, które dla wielu artystów bywa barierą nie do przejścia. Złożyliśmy kilka różnych wniosków w ramach Krajowego Planu Odbudowy (KPO), testując własną cierpliwość i wiarę w ten projekt. Szukaliśmy formuły, która pozwoliłaby pogodzić bezkompromisową wizję artystyczną z rygorami finansowania publicznego. Ostatecznie, to właśnie wniosek złożony przez Lucjusza zyskał uznanie ekspertów. Kwota 36 tysięcy złotych brutto, pochodząca z unijnego programu Next-GenerationEU, stała się fundamentem, na którym mogliśmy wznieść nasze demony. Nie chcieliśmy jednak tworzyć kolejnej turystycznej laurki dla regionu. Naszym celem było wyciągnięcie na światło dzienne lęków, które produkujemy każdego dnia.

Słowo, oko i doświadczenie

Projekt „Instalacje Słowiańskiej Fantastyki” stał się poligonem doświadczalnym dla dwóch różnych, choć dopełniających się wrażliwości. Ja – jako autor koncepcji i scenariuszy – wniosłem w tę współpracę bagaż do-

Paweł Więzik – pochodzący ze Szczyrku muzyk, raper, poeta, autor powieści, związany z kulturą Beskidów.



świadczeń literackich. Pracuję w Beskidzkiej Grupie Medialnej, więc dobrze znam codzienny „taniec” z informacją, która pędzi, mieni się nagłówkami i znika w cyfrowej otchłani. Moja twórczość literacka została doceniona m.in. Nagrodą Starosty Bielskiego w dziedzinie kultury, a wcześniejsze sukcesy w ogólnopolskich konkursach poetyckich i dwudziestoletnia działalność w kulturze hip-hopowej nauczyły mnie, że najsilniej oddziałuje obraz skondensowany. Metafora, która boli.

Z kolei Lucjusz Cykarski to człowiek, którego oko kształtowało się w czasach największej świetności polskiego fotoreportażu prasowego. Jego doświadczenie zdobyte w redakcjach „Rzeczpospolitej” czy „Gazety Wyborczej” przełożyło się na unikalną zdolność dostrzegania prawdy w kadrze – bez upiększania, za to z ogromnym szacunkiem dla światła i kompozycji. Lucjusz jest absolwentem Wyższego Studium Fotografii w Warszawie, zdobywcą drugiego miejsca w międzynarodowym konkursie w Pradze oraz pierwszej nagrody MSZ za reportaż multimedialny. Jego album *Folklor w obiektywie* to dowód na to, że potrafi patrzeć na tradycję w sposób nowoczesny.

Co istotne, projekt miał charakter niemal rodzinny. Oprócz nas wzięli w nim udział nasi bliscy: żona Lucjusza Karolina oraz mój syn Kacper, którzy wcielili się w role modeli, nadając instalacjom ludzki, intymny charakter.

Sześć twarzy nowoczesnego lęku

Nasza współpraca była procesem alchemicznym: używaliśmy recyklingu nie tylko jako materiału konstrukcyjnego, ale jako głównej metafory. Bo czymże są dzisiejsze demony, jeśli nie odpadami naszej cywilizacji?



ZMORA – epidemia błękitnego światła

Zaczęliśmy na plaży w Hecznarowicach – miejscu, które w sezonie letnim tętni życiem, a poza nim staje się surową sceną dla egzystencjalnych pytań. Postawiliśmy tam stare, metalowe łóżko. Mebel ten, synonim bezpieczeństwa i prywatności, wyniesiony na zewnątrz jest symbolem bezbronności. Moja koncepcja Zmory odcina się od ludowych podań, mówiących o istocie duszącej śpiącego. Dzisiejsza Zmora to bezsenność wielkiego miasta, psychiczna duszność wywołana nadmiarem bodźców.

Instalacja ukazuje postać przygniecioną nie tylko ciężkim, futrzanym kostiumem, ale i atrybutami nowoczesnej udreki: walizką pełną projektów, których nigdy nie skończymy, globusem świata, który nigdy nie zasypia i telefonem – tą współczesną smyczą, która wibruje powiadomieniami o świecie. Lucjusz wydobyl moment zawieszenia – błękitne światło ekranu, które zamiast koić, drażni. To opowieść o świecie, który odebrał nam prawo do całkowitego „wylogowania się”.

GUŚLARZ – rytuał na gruzach *sacrum*

Kolejnym przystankiem było moje rodzinne „Więzikowo” (przestrzeń twórcza w Hecznarowicach) i tamtejszy Święty Gaj. Jednak w naszej wizji nie jest to las z baśni. W hamakach z porwanej, rolniczej folii „odpoczywają” plastikowe butelki i aluminiowe puszki. Bogini, przed którą staje mój Guślarz, złożona jest z metalowych resztek i technologicznych odpadów.

Jako autor scenariusza chciałem zadać pytanie o granice profanacji: co możemy ofiarować siłom wyższym, skoro zniszczyliście ich naturalny dom? Guślarz w tej

instalacji to człowiek szukający odkupienia w świecie, w którym *sacrum* zostało obudowane polietylenem. Lucjusz nadał tej scenie niemal sakralną powagę, kontrastując godną postać Guślarza z tandetą materiałów, z których zbudowano bóstwo. To obraz modlitwy w miejscu, gdzie natura stała się archiwum ludzkiego wstydu.

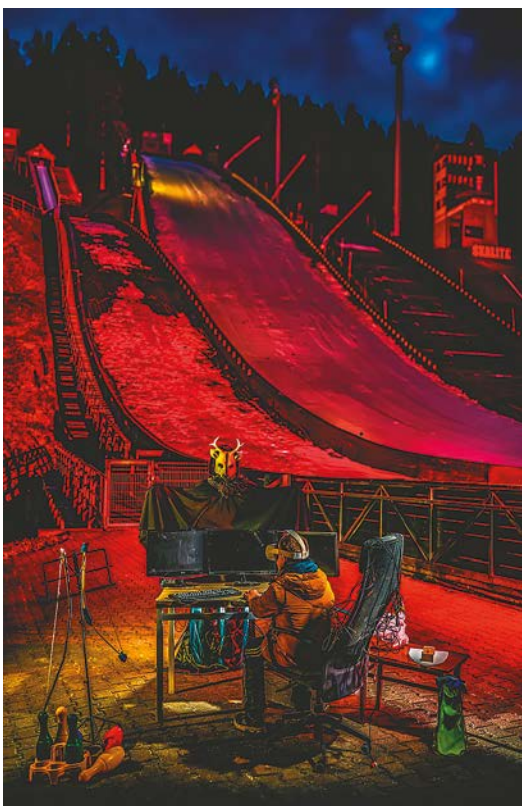
STRZYGI – wojna jako szum informacyjny

Najtrudniejsza emocjonalnie była instalacja w starej cegielni w Wilamowicach. Wykorzystaliśmy tam czerwony dym, który w surowych murach przypominał wojenną pożogę. Moim pomysłem było pozbawienie Strzyg ludzkich twarzy. Zamiast nich pojawiły się gazety z nagłówkami o kryzysach, inflacji i śmierci – personifikacja lęku, który karmi się informacją.

Strzygi siedzą nieruchomo, trzymając flagi państwowe niczym koce termiczne w obozie dla uchodźców. U ich stóp leżą porzucone rekwizyty przerwanego dzieciństwa: wózek, miś, piłka. To moment, w którym słowiański mit spotyka się z wieczornym wydaniem wiadomości. Wojna w tej wizji wysysa z nas tożsamość, zamieniając ludzi w „strzygi” – istoty zawieszane między dawnym domem a niepewną przyszłością. Lucjusz użył tu światła, które wydaje się krzyczeć, podkreślając dramatyzm ruin.

Zmora, Guślarz i Strzygi
 Lucjusz Cykarski





POŁUDNICA – klepsydra w gorącej
ce świata

Pola kukurydzy w Hecznarowicach stały się tłem dla Południcy. Tradycyjnie karała ona za pracę w pełnym słońcu. Nasza postać jest strażniczką – ostrzega przed globalnym zapłonem. W rękę trzyma klepsydrę. Każde ziarnko piasku symbolizuje czas, który tracimy, ignorując zmiany klimatu.


Wizualnie ta instalacja jest drażniącą. Płonący snop zboża obok groteskowej, jaskrawozielonej plastikowej konewki to obraz naszych małych, często pozornych gestów ekologicznych, wykonywanych w cieniu wielkiej katastrofy. Południca jawi się jako sędzia rytmu natury, który bezpowrotnie złamaliśmy.

Zdjęcia Lucjusza oddają suchy, niszczący żar. To przypomnienie, że południe naszej cywilizacji może być ostatnim, jakie znamy.

UTOPIEC – woźny zatrutych wód

W naszej wizji strumień z Doliny Zimnika, który powinien być krystaliczny, paruje żółtą, nienaturalną mgłą. Utopiec nie jest tu mściwym duchem, czyhającym na nieostrożnych pływaków. Jest ofiarą. Wyłania się z wody razem z siecią pełną butelek, puszek i starych parasoli.

Oto zdegradowaliśmy dawne bóstwa do roli naszych woźnych. Utopiec wykonuje gest niemal rytualny, odda-

Leszy i Utopiec
 Lucjusz Cykarski



jąc nam to, co wrzuciliśmy do wody z myślą, że „rzeka zabierze”. To obraz ostatecznego upadku mitu: bóstwo wodne musi sprzątać po człowieku – granica między kulturą a śmietnikiem została przekroczona. Natura nie jest już sędzią, stała się bezsilnym świadkiem naszej ignorancji.


LESZY – ostatni bastion w cyfrowej kniei

Projekt zakończyliśmy w Szczyrku, pod skocznią Skalite. To tu postawiliśmy Leszego. Jednak on nie pilnuje już granic kniei przed drwalami. Siedzi naprzeciw monitora, przy którym dziecko (mój syn Kacper), odcięte od świata słuchawkami, traci kontakt z rzeczywistością. Płaszcz Leszego pachnie rozgrzaną elektroniką i kurzem serwerowni.

Jako ojciec widzę to codziennie – dzieci, które nie gubią się już w lesie, ale znikają w algorytmach TikToka czy YouTube’a. Mój Leszy jest cierpliwy. On czeka, aż dziecko w końcu odwróci wzrok od matrycy. „Jeśli pójdzie za Leszym, nie zostanie porwane. Zostanie odnalezione” – to zdanie ze scenariusza jest dla mnie kluczowe. To nadzieja na powrót do świata, który oddycha wolniej, ale prawdziwie.

Manifest beskidzki

Projekt „Instalacje Słowiańskiej Fantastyki” był dla nas manifestem. Wspólnie z Lucjuszem Cykarskim oraz naszymi najbliższymi stworzyliśmy opowieść o nas samych. Jako autor nagrodzony za promowanie kultury regionu, czułem się zobowiązany, by pokazać Beskidy nie przez pryzmat pamiątek, ale z perspektywy trudnych pytań o przyszłość tego miejsca.

Nasza kultura jest w procesie ciągłego przetwarzania, ale jeśli nie zaczniemy dbać o fundamenty – ekologię, realne relacje i spokój ducha – to zostaną nam tylko mity o potworach, którymi sami się staliśmy. Te instalacje to nie bajki. To rzeczywistość, której tylko nadaliśmy nieco fantastyczną formę. Chcieliśmy, by „Instalacje Słowiańskiej Fantastyki” były jak dreszcz na plecach. By stanowiły ostrzeżenie, że czas, który nam został, przesuwa się w klepsydrze Południcy coraz szybciej. 



Agata Rucińska

Słowo które śpiewa

Poezja zwykle bywa samotna. Siedzi w książkach, czeka na czytelnika, czasem na lepsze czasy. Bywają jednak wiersze, które nie potrafią tkwić w miejscu – wychodzą na scenę, łączą się z muzyką, żyją w cudzych głosach. Tak właśnie było 19 marca 2026 roku w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej, gdzie odbył się benefis Mirosława Bochenka, liryka, który od pięciu dekad konsekwentnie łączy literaturę z muzyką.

Mirosław Bochenek
z wieńcem laurowym
📖 Archiwum Książnicy
Beskidzkiej w Bielsku-Białej

Benefis o bardzo trafnej nazwie *Echa miasta*, zorganizowany w ramach obchodów Polskiej Stolicy Kultury, tuż przed Światowym Dniem Poezji, nie zamienił się w uroczysty przegląd zasług. Od początku miał raczej charakter opowieści o tym, co zostaje po twórcy w ludziach, miejscach, relacjach na stałe, i prowadził przez wiersze, piosenki, spotkania, rozmowy, przyjaźnie, pamięć miasta.

Tego wieczoru do biblioteki przybyli artyści, przyjaciele, współpracownicy, samorządowcy, ludzie kultu-

ry, znajomi z różnych etapów życia Mirosława Bochenka oraz wierni fani. Sama obecność tak różnych osób mówiła o poecie więcej niż jubileuszowa formuła. Dyrektorka Książnicy Beskidzkiej Katarzyna Ruchała od początku prowadziła spotkanie bez pomnikowej sztywności, ale z jasnym wskazaniem, że nie chodzi wyłącznie o rocznicę. O bohaterze tego dnia mówiła jako o człowieku, który „przez 50 lat tworzył kulturę, a nie tylko w niej uczestniczył”, łączył ludzi, inspirował i budował „coś, czego nie da się zmierzyć statystyką”: relacje, emocje i pamięć.

„Jestem zachwycony, że tyle osób przyszło. Mam nadzieję, że to, co usłyszycie i zobaczycie, będzie miłym, ciekawym, mądrym przeżyciem” – nie bez wzruszenia dziękował literat wszystkim zgromadzonym gościom. Oficjalne gesty uznania: wiersz autorstwa Juliusza Wątroby, laur od Książnicy Beskidzkiej oraz kwiaty z rąk prezydenta miasta, były ważne, ale nie zdominowały wieczoru. Humor, wspomnienia i muzyka sprawiły, że jubileusz nie zastygł w ceremoniale.

Agata Rucińska

– redaktorka naczelna miesięcznika „Senior BB”, wydawca portalu lokalnego bielskirynek.pl. Zajmuje się dziennikarstwem lokalnym, relacjonuje wydarzenia kulturalne i społeczne z Bielska-Białej i regionu.

Między wierszem a piosenką

Mirosław Bochenek należy do grupy pisarzy, których trudno zamknąć w jednej formule. Poeta, felietonista, autor tekstów piosenek. Od lat związany z Bielskiem-Białą. Z wykształcenia prawnik, absolwent Uniwersytetu Śląskiego. Urodził się 16 marca 1960 r. Debiutował w 1975 r. w almanachu „Łódzka Wiosna Poetów”. Wydał dziesięć tomów wierszy – od zbioru *Zastłonięty obłokiem* z 1979 r., aż po tomik z 2025 r. *Wszystko jasne*. Są wśród nich książki wyraźnie związane z beskidzkim i bielskim pejzażem, jak *Karkosz. Zbiór wierszy beskidzkich*, *Stare Miasto czy Podwórko*.

Publikował w „Gościu Niedzielnym”, „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Więziach”. Jest współtwórcą katowickiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego utwory przetłumaczono na języki chorwacki i szwedzki; trafiły też do teatru czy filmu (*To ja złodziej*, *Skazany na bluesa*).

Od lat jest obecny w muzyce – pisał teksty dla Ryszarda Riedla i zespołu Dżem, Mirka Breguły i Universe, grup Monkey Business, Easy Rider, Hokus i Terapia. Tworzył piosenki literackie, współpracując m.in. z Tomaszem Lewandowskim (płyta *Na sprzedaż*,

2003). Jak widać, bielski twórca od dawna ma dwa życia: w książce i w piosence. I najwyraźniej dobrze się czuje w obu tych miejscach.

Nie akademia, lecz żywa opowieść

Organizatorzy nie sprowadzili jubileuszu do wyliczanki dat, nagród, tytułów i obowiązkowych okłasków. Biografia i dorobek artysty były obecne, ale nie jako szkolny konspekt. Spotkanie zdominowały muzyka, rozmowy, wspomnienia i fragmenty twórczości, które stopniowo układały się w portret autora. Na scenie wystąpili Sebastian Riedel, Jerzy Styczyński, Janusz Kohut, Tomasz Lewandowski, Tomasz Madzia, Krzysztof Maciejowski oraz Aleksandra i Piotr Steczkowie. Artyści nieprzypadkowi, bo teksty Mirosława Bochenka pasują i do bluesa, i do rocka, form kantatowych czy piosenki poetyckiej.

Za sprawą muzyki i plastyki publiczność poznała różne oblicza twórczości bielskiego literata. Kompozytor Janusz Kohut, sopranistka Joanna Korpiela-Jatkowska i gitarzysta Tomasz Madzia sięgnęli po utwory z kantaty *Styczeń 1863*. Tomasz Lewandowski i Krzysztof Maciejowski przypomnieli teksty bardziej wyciszone i nastrojowe. Z kolei filmowa interpretacja wiersza *Wielkie dzięki*, przygotowana przez Piotra Wisłę, Janusza Kohuta i Alfreda Sosgórnik, przeniosła uwagę na obraz. Zdecydowanie najmocniej zabrzmieli Sebastian Riedel, Jerzy Styczyński oraz Aleksandra i Piotr Steczkowie, wykonując dwa utwory – w tym *Gdy patrzę w twoją twarz* – piosenkę, która rozpoczęła historię współpracy z rodziną Riedlów.

Trafić słowem do ludzi

Mirosław Bochenek zapytany, kim właściwie bardziej się czuje – poetą czy tekściarzem, przyznał, że do pisania tekstów piosenek doszedł stosunkowo późno, mniej więcej dziesięć lat po debiucie, i że początek był raczej przypadkowy. Zastrzegł jednak od razu, że ma duszę poetycką. Dorzucił też uwagę o znaku zodiaku, sugerując z pewnym rozbawieniem, że ludzie urodzeni w lutym i marcu mają do sztuki szczególnie szerokie podejście.

W tej z pozoru lekkiej wypowiedzi dobrze wybrzmiał sposób myślenia artysty o poezji – poezji jako próbie rozmowy z ludźmi i oczekiwaniu na ich odpowiedź. Pewnie dlatego jego pisanie tak naturalnie przechodzi z tomu poetyckiego do piosenki. Nie bez znaczenia była też wzmianka o Tomaszu Lewandowskim, którego liryczny nazwał swoim osobistym bardem. W repertuarze tego wykonawcy znajduje się 36 piosenek z tekstami bielskiego autora. Przy takiej liczbie trudno mówić o przypadku – to już trwała relacja artystyczna.

Skazany na Riedlów

Szczególne miejsce w tej muzycznej historii zajmują związki Mirosława Bochenka z rodziną Riedlów. Jak wynika z jego opowieści, wszystko zaczęło się od obietnicy danej Małgorzacie Riedel, która poprosiła o napisanie tekstu dla syna. Tak powstała wspomniana już piosenka *Gdy patrzę w twoją twarz*, od której zaczęła się bliższa współpraca z Sebastianem Riedlem i grupą Cree. Z czasem ta relacja rozszerzyła się również na zespół Dżem i – co warto podkreślić – nie opierała się wyłącznie na zawodowym porozumieniu. Ważne były przede wszystkim podobna wrażliwość i wzajemne zaufanie.



Efektom tej drogi jest wydany 27 lutego 2026 r., po ponad 15 latach przerwy, album studyjny Dżemu *Sobie potrzebni*, do którego bielski twórca napisał wszystkie teksty. To już nie gościnny epizod, lecz potwierdzenie miejsca, jakie jego słowo zajmuje w dziejach polskiej muzyki.

Wzgórze, Herbert i rękopisy w piwnicy

Benefis zyskał bardzo osobisty ton, gdy na ekranie zaczęły pojawiać się archiwalne slajdy, a poeta snuł opowieści o własnym dzieciństwie i młodości. Wracał pamięcią na Wzgórze – „pod szóstkę”, do oficyny oddalonej o kilka metrów od Rynku. Dzisiejsza ulica Wzgórze nosiła wtedy nazwę Kosmonautów. Nie był to magiczny świat z pocztówek, lecz szorstka rzeczywistość: pełna biedy, czasem brutalności – świat codzienny, zwyczajny, bez dekoracji. Właśnie dlatego wybrzmiał tak prawdziwie.

Ten miejski konkret wiele mówi o źródłach wrażliwości bielskiego literata. Jego poezja nie rodziła się z bezpiecznego dystansu, lecz z obserwacji podwórka, ulicy i ludzi, którzy rzadko trafiają do gładkich opowieści. A w tej historii szczególne miejsce zajmuje matka. Mirosław Bochenek wspominał, że w podstawówce nie znosił wierszy i że poezja mogła dla niego w ogóle nie istnieć. Wszystko zmieniło się w siódmej klasie, kiedy z nudów przeczytał *Piosenkę o trzech wesołych aniołach* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Wówczas przyszło oczarowanie i pierwsze próby własnego pisania. Rękopisy chował w piwnicy, w starych szmatach – trochę ze wstydu, trochę z niepewności. Odnalazła je matka i – co ważniejsze – pochwaliła, a później na św. Mikołaja podarowała mu zbiór wierszy Zbigniewa Herberta. Wtedy zrozumiał, że poezja może być sprawą naprawdę ważną.

Katarzyna Ruchała żartowała, że biografia Mirosława Bochenka jest „tematem niebezpiecznym”, bo gdyby chcieć opowiedzieć wszystko, benefis trwałby pewnie trzy dni. Oficjalna wersja, jak mówiła, brzmi pięknie: 50 lat pracy twórczej, nieoficjalna: „50 lat nieustannego wymyślania sobie zajęcia i wciągania w to innych”. W tym żarcie było dużo prawdy o człowieku, który jak coś organizuje, to na serio; jak tworzy, to do końca; a kiedy ma pomysł, „lepiej mieć przy sobie kalendarz i wygodne buty”.

50 lat zapisanych na nowo

Jak mówiła prowadząca spotkanie dyrektorka biblioteki, są ludzie, którzy z wiekiem zwalnijają, i jest Mirosław Bochenek, który „najwyraźniej nie dostał tych instrukcji”. I tak ważnym momentem wieczoru była promo-

cja książki *Prywatny gościniec. Wybór wierszy, piosenek i pieśni 1975–2025*. To nie tylko jubileuszowa publikacja, ale próba zebrania półwiecza pracy twórczej w jednym tomie. A znajdziemy w nim wiersze, teksty piosenek, utwory bardziej osobiste i te pisane z myślą o wykonaniu przed publicznością. Ilustracje przygotował bielski grafik Piotr Wisła, serdeczny przyjaciel autora. Publiczność otrzymała tego wieczoru nie tylko sam tom, ale także płytę *Niepoprawni marzyciele*, nagranych przez poetę wspólnie z Sebastianem Riedlem i Januszem Kohutem.

Bielsko-Biała między wersami

Choć tego wieczoru najmocniej wybrzmiewał dobroć o szerszym zasięgu, nie sposób nie wspomnieć o lokalnym wymiarze twórczości bielskiego artysty. Jak przypomniał animator kultury Zygmunt Czernek, Mirosław Bochenek pisał również teksty piosenek o Bielsku-Białej (m.in. *Bielskie tramwaje*, *Spacer po Bielsku*, *W Cygańskim Lasku*), które wykonywała Bielska Kapela Podwórkowa Janka Polaka (działająca od 1974 r. przy Międzyzakładowym Domu Kultury Włókniarzy). Największe sukcesy zespół odnosił w drugiej połowie lat 70. XX w., a jego działalność trwała do roku 2000. To działalność mniej znana, ale ważna – pokazująca, że wrażliwość poety wyrasta z konkretnych miejsc, ma własny pejzaż i swoje ulice.

Słowa, które krążą

Benefis Mirosława Bochenka nie był tylko jubileuszem. Przypominał, że o niektórych autorach nie decyduje chwilowy rozgłos, lecz ślad zostawiony w ludziach: w zapamiętanej piosence; książce wyjętej z biblioteczki; rozmowie, która powraca, gdy nikt już nie liczy oficjalnych rocznic. A słowa zapisane przez bielskiego liryka nadal są w ruchu – nieustannie krążą w tomikach, piosenkach, pamięci odbiorców. Marcowy wieczór w Książnicy Beskidzkiej nie wyglądał jak zamknięcie rozdziału. Stanowił raczej kolejny dowód na to, że słowo raz puszczone między ludzi potrafi długo nie wracać na półkę.



Gratulacje z rąk prezydenta miasta (na stronie obok) i występy gości

Archiwum Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej

Małgorzata Irena Skórska

Na poligonie emocji

Rozmowa z **Jackiem Popławskim**, dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Lalek Białulka w Bielsku-Białej, dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Lalkarskiej w Bielsku-Białej, Bielszczaninem, aktorem, reżyserem, menadżerem kultury

Małgorzata Irena Skórska: Jakie emocje towarzyszyły zespołowi Teatru Lalek Białulka po rozdaniu Złotych Masek za 2025 r.?

Jacek Popławski: Spektakle tworzymy z myślą o widzach i to jest dla nas najważniejsze. Natomiast konkursy, w których bierzemy udział, to zawsze jakaś szansa na wygraną, choć bywa z tym różnie. Ucieszyliśmy się z nominacji w dwóch kategoriach: spektakl roku oraz scenografia. Finalnie okazało się, że razem z Teatrem Polskim w Bielsku-Białej otrzymaliśmy nagrodę w kategorii scenografia. Mowa o przedstawieniach *Kwiat Paproci* w Białulce i *Iwona, księżniczka Burgunda* w Teatrze Polskim, do których scenografię zaprojektowała Agata Stanuła. Jeśli chodzi o emocje, to w oczekiwaniu na werdykt były one wysokie. Później była już tylko radość z faktu, że ktoś docenił tę ciężką pracę twórców – pracowni plastycznej, działu technicznego odpowiedzialnego za całą machinę sceniczną i oczywiście aktorów wchodzących w swoje role.

Małgorzata Irena Skórska – Bielszczanka, absolwentka filologii polskiej, medioznawczyni. Dziennikarka prasowa, reportażystka telewizyjna, autorka licznych artykułów i wywiadów.



Spektakl *Kwiat Paproci*, który został doceniony przez jury 58. edycji wyżej wspomnianych nagród teatralnych, powstał na motywach baśni Józefa Ignacego Kraszewskiego. Na czym polega uniwersalizm tej opowieści i jak ważną rolę odgrywa w tym przedstawieniu scenografia?

To, co jest w tej historii ponadczasowe, to fundamentalny dylemat „mieć czy być”. Główny bohater z nieokreślonego powodu nie jest zadowolony ze swojego życia. Jego marzeniem jest złudne posiadanie „czegoś”. Pragnie bogactwa i lepszego życia. Jest w stanie poświęcić wszystko, nawet własne szczęście. Dopiero na samym końcu opowieści pojawia się refleksja.

Sądzę, że ten mechanizm nigdy się nie zmieni, niezależnie od tego, czy zdominuje nas sztuczna inteligencja, komputery, czy inne rozwiązania technologiczne. Człowiek zawsze będzie stał przed takim samym pytaniem: lepiej mieć czy być?



Jarosław Klimaszewski
i Jacek Popławski otwierają
29. Międzynarodowy
Festiwal Sztuki
Lalkarskiej, 2022
Archiwum Teatru Lalek
Białluka w Bielsku-Białej

Natomiast w kwestii scenografii, przede wszystkim chodziło o zaznaczenie pewnych planów miejsca – przestrzeni, w której bohater mieszka; później istotna była trasa przejścia do lasu, w zagadkowe miejsca, gdzie w noc świętojańską chłopiec poszukuje kwiatu paproci, spotykając po drodze mityczne postacie.

Niedawno premierę miał spektakl pt. *Zagubiony Chłopiec* w reżyserii Konrada Dworakowskiego, na podstawie tekstu Artura Pałygi, i podobno cieszy się on dużym zainteresowaniem. Jakie – w dobie tak szybkiego rozwoju technologii – towarzyszą Panu niepokoje w kontekście najmłodszego widza, coraz częściej nieumiejącego oddzielić świata realnego od wirtualnego? Jak dużym zagrożeniem może okazać się sztuczna inteligencja dla klasycznego teatru sztuki lalkarskiej?

Teatr ma taką przewagę, że operuje tym, co jest namacalne „tu i teraz” – bezpośrednio rejestrowane zmysłami w bieżącym momencie. Odbiorca widzi to, co jest na

scenie w konkretnym czasie, ale odnosi się do tego, czego nie ma, czyli do naszych emocji, wyobrażeń, konfrontacji z samym sobą, filozofią i doświadczeniami. Z kolei sztuczna inteligencja jest czymś, czego nie ma, a teatr operuje konkretnym spotkaniem, scenografią, głosem aktora, lalką, i do tego potrafi tę rzeczywistość przenieść na inny poziom. Zasadniczo tym też różnimy się od komputerów i innych zdobyczy technologicznych.

Czy, Pana zdaniem, lalki w Białluka mają szansę przetrwać?

Teatr lalek ma przed sobą ogromne zadanie. A ja jestem przekonany, że po tym zachwyceniu się cybernetyczną stroną rozwoju cywilizacji na pewno będzie odwrót i nostalgia za tym wszystkim, co daje nam klasyczna świątynia sztuki. Z takim mechanizmem szybkiego zachwyca się różnymi nowościami mieliśmy już wielokrotnie do czynienia. Po jakimś czasie pojawia się refleksja, że jednak coś tracimy.

Teatr to coś na kształt poligonu – miejsce, które pozwala w bezpieczny sposób przeżyć emocje, których być może nie chcielibyśmy przeżywać, a tu możemy mieć do czynienia ze zjawiskiem metafizycznym na widowni. Obserwując scenę, mamy możliwość nauczyć się i dowiedzieć czegoś o sobie, a także zbudować własną inteligencję emocjonalną i wrażliwość na drugiego człowieka. W zestawieniu z człowiekiem, który sam znajduje się przed komputerem – tak jak tytułowy *Zagubiony chłopiec*, który gdzieś ucieka i zapominając o sobie, wchodzi w wirtualną przestrzeń, oddaje się w ręce sztucznej inteligencji – to dwa różne światy. W zasadzie nie ma tu czego porównywać, bo tylko teatr jest prawdziwy.

Spektakl, o którym rozmawiamy, przeznaczony jest dla dzieci powyżej dziesiątego roku życia. Jak ocenia Pan odbiór tego spektaklu przez młodych widzów? Czy możemy w tym przypadku mówić o jakimś działaniu terapeutycznym?

Teatr nie jest terapią w rozumieniu bezpośrednich skutków. Owszem, może otworzyć drzwi do rozmowy, refleksji i spowodować, że nasze wybory będą inne w wyniku tego, co gdzieś w naszej podświadomości się odłożyło. I tutaj tak właśnie jest, że przedstawienie dla najmłodszych może nas przestrzec przed zagrożeniami i na tej podstawie pomóc wyciągnąć w przyszłości jakieś pozytywne wnioski. Liczymy, że po tym spektaklu rozpocznie się dyskusja.

Przyznam, że *Zagubiony chłopiec* spotkał się z dużym zainteresowaniem, bo odnosi się do tego, czym aktualnie żyje młody człowiek. W jakimś sensie można powiedzieć, że jest to teatr interwencyjny, bo jest problem, a my go omawiamy w oparciu o zobaczenie zagrożenia.

Na maj przypada 31. Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej. Jaka jest cykliczność tego festiwalu?

Na samym początku festiwal nie był traktowany w kategoriach biennale, dlatego 60-lecie Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Lalkarskiej i liczba 31 trochę inaczej grają. Przyznam, że w cykliczności wydarzenia przeszkodziła przerwa spowodowana pandemią; nawet w stanie wojennym impreza odbywała się bez paury.

Wydarzenie od wielu lat funkcjonuje w formule biennale. Idea od zawsze było sprowadzanie do Polski teatrów za-

W czasie festiwalowej parady, 2022



granicznych i międzykulturowy dialog, pozwalający na wymianę idei, estetyk i praktyk teatralnych. To nas odróżniało. Największy nacisk kładło się na to, żeby w festiwalowym programie były na co dzień niedostępne dla ludzi premiery, które grupowaliśmy w jednym czasie i miejscu. W ten sposób każdy miał do nich dostęp.

W tym roku święto sztuki lalkarskiej jest wydarzeniem szczególnie ważnym, bo odbywa się w mieście z tytułem pierwszej Polskiej Stolicy Kultury.

Tak wspaniale się ułożyło, że 60-lecie Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Lalkarskiej idealnie wpisało się w rok świętowania pierwszej Polskiej Stolicy Kultury. Jest to najstarszy i największy tego typu festiwal w Polsce; marka znana na całym świecie. Przede wszystkim stworzymy go dla wszystkich mieszkańców naszego miasta, żeby i oni mogli doświadczyć światowej kultury. Jest to też wydarzenie niezwykle wartościowe dla aktorów, którzy nawzajem siebie oglądają. Warto podkreślić, że w czasie festiwalu do Bielska-Białej przyjeżdżają fachowcy z Polski i całego świata – teatrologi, dyrektorzy teatrów, reżyserzy, scenografowie i osoby, którym sztuka lalkarska jest bliska.

Początki festiwalu to lata 70. XX w., a wtedy teatr łączył Wschód i Zachód przez żelazną kurtynę. Wszędzie było szaro i ponuro, a do dwumasta przyjeżdżał cały świat. I to jest ta historia, to jest ta marka, której nie da się kupić za żadne pieniądze. W tym roku mamy możliwość wzmocnienia swojej renomy na międzynarodowej scenie w mieście kultury. Dzięki tej koincydencji możemy wykorzystać i promować to, co jest naprawdę ważne dla tego miasta.

Mam wrażenie, że festiwal z tak bogatą historią i międzynarodową tradycją nabiera w tym roku jeszcze głębszego charakteru. Jak te wszystkie elementy ze sobą współpracują?

Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem „60 lat wyobraźni. Teatr, który łączy światy”. Wydarzenie ma charakter kompleksowego projektu artystycznego i edukacyjnego, prezentującego najwybitniejsze zjawiska współczesnego teatru lalek, teatru formy, animacji. Repertuar jest bardzo bogaty. Wszystkie przedstawienia, z mojego punktu widzenia, wnoszą jakąś wartość. Każde jest inne, bo sztuka lalkarska jest wielowymiarowa – różnorodne są podejścia do filozofii, sposobu wizualizacji i przeprowadzenia danego widowiska. Ważnym aspektem jest z pewnością liczba aktorów zaangażowa-

nych w tak wielkie i spektakularne wydarzenie. Zaprośmy grupy z trzech kontynentów – z Francji, Norwegii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Belgii, Holandii, Niemiec, Szkocji (Wielkiej Brytanii), Szwajcarii, Izraela, Słowenii, Litwy, a także z Polski. Do tego studenci z dwóch polskich akademii oraz ze Słowacji i Ukrainy. Mamy w tym roku do czynienia z zasięgiem mocno międzynarodowym.

Jaka jest Pana, jako dyrektora Baniałuki, wizja teatru lalkowego? Skąd Pan czerpie wzorce? Czy bierze Pan pod uwagę rozwiązania, które były wcześniej stosowane?

Tradycja lalkarska tej instytucji jest znana zarówno w Polsce, jak i na świecie. Przejąłem teatr, który był zbudowany na bardzo wysokim poziomie. Obejmując stanowisko dyrektora, od samego początku wiedziałem, że będzie to trudne zadanie, aby utrzymać ten poziom, ale oprócz tego znaleźć swój język. Aktualnie żyjemy w bardzo dynamicznych czasach, w których zmienia się sposób widzenia świata. Działamy przede wszystkim obrazem, coraz bardziej stajemy się cywilizacją piktogramu, czyli niejako zbliżamy się do teatru formy (języka obrazu), który ją prowadzi.

Na pewno przez cały czas ewoluują multimedia, rodzaje światła i dymów, jakie możemy podczas spektaklu wykorzystywać. Ten cały anturaż pogłębia doświadczenia. Przyznam, że dla mnie bardzo ważna jest tradycja, czyli to, jaka jest historia polskiego teatru lalek – i o tym nie zamierzam zapomnieć. Chcę kultywować te tradycje, równocześnie idąc z duchem czasu, bo absolutnie nie jesteśmy muzeum. Nieustannie poszukujemy nowych rozwiązań. Wszakże i nasz widz, który w większości przypadków jest dzieckiem, podlega bardzo dużym zmianom, a my jesteśmy zmuszeni znaleźć nowy język, który będzie miał odbicie w naszym teatralnym partnerze.

Przez cały czas chcemy być na bieżąco, dlatego rozwijamy Baniałukę. Natomiast trudno powiedzieć, w którą stronę pójdzie strona. Osobiście mam nadzieję, że lalki przez cały czas będą obecne w naszym teatrze, ponieważ taki jest nasz rodowód.

Jak podobała się Panu Baniałuka i jej repertuar, gdy funkcję dyrektora naczelnego i artystycznego pełnił Piotr Tomaszuk?

Bardzo ciekawe spektakle. Przez tę chwilę, kiedy dyrektorem był tutaj Piotr Tomaszuk, czyli w okresie 2000–2003 (to były niecałe dwa lata), wprowadził bardzo



dużo świeżego dla Bielska-Białej – zaznaczam – repertuaru (ponieważ kilka z tych spektakli było przeniesionych z Teatru „Wierszalin” w Supraślu). Dla mieszkańców miasta były to odkrycia i pójście inną drogą, którą wiele osób do dzisiaj wspomina. Mówi się, że wtedy teatr rzeczywiście mocno się zaznaczył jako przestrzeń dla dzieci i dorosłych. Biorąc pod uwagę dorobek artystyczny Tomaszuka, z pewnością były to bardzo ciekawe realizacje.

Jakie tytuły pojawią się w repertuarze Teatru Lalek Baniałuka w kolejnych miesiącach tego roku, po tak intensywnym czasie pracy nad festiwalem?

Ważne, aby pamiętać, że festiwal o takiej randze jest dużym, skomplikowanym i szalenie angażującym instytucję wydarzeniem, ale nie jest tworzony zamiast, tylko oprócz naszej zwykłej, codziennej działalności. Powstają kolejne premiery, bo w każdym roku gramy ponad 300 spektakli i to jest nasze działanie statutowe.

Jesteśmy po premierze, o której rozmawialiśmy, a w kwietniu odbyła się prapremiera przedstawienia dla najmłodszych widzów pt. *Kamyk i księżyc* na naszej scenie na piętrze. To opowieść o odwadze w podążaniu za marzeniami. Bardzo ciepły temat i teatr, który bardzo lubię – uważny i wrażliwy.

Festiwal to koniec sezonu, a we wrześniu zaprosimy naszych widzów (od szóstego roku życia) na nowy spektakl pt. *Empatia*. Z kolei w listopadzie na afisz trafi kolejny tytuł – *Królowa śniegu*. W miesiącu gramy około pięciu, sześciu tytułów. Kiedy przychodzą nowe, to starsze odchodzą lub czasami wracają wybiórczo po jakimś czasie. Dla nas najważniejsze są oczekiwania widzów, bo to oni dokonują wyborów.

Z zespołem Baniałuki w drodze na 31. festiwal lalkowy, 2026

📁 Archiwum Teatru Lalek Baniałuka w Bielsku-Białej

Piotr Burzyński

Urodzony w Bielsku-Białej. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Stanisława Wyspiańskiego w Jarosławiu i Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego na kierunku grafika/linoryt. Rysownik serii komiksów *Spółka ZŁO* według scenariusza Karola Porzyckiego, wydawanej przez wydawnictwo Diablaq. Ma na koncie poemiks *Konklawe Świerszczyków* do wierszy Patryka Kosendy wydawnictwa Los Kraba. Publikował w „Projektorze”, „Akcje”, „Zeszytach Komiksowych”, „Stronie Czynnej” i wielu innych. Swoje prace prezentował m.in. na indywidualnej wystawie w ramach III Festiwalu Komiksu i Narracji Obrazkowej w Kielcach czy w Galerii Sanockiego Domu Kultury podczas Sanockiego Dnia Komiksu. Prowadzi warsztaty z komiksu i grafiki warsztatowej w Powiatowym Młodzieżowym Domu Kultury w Starym Sączu.

Choć Piotr Burzyński mieszkał w Bielsku-Białej tylko przez pierwsze trzy lata swojego życia, darzy to miasto wielkim sentymentem. I właśnie z tego sentymentu oraz prowadzonego przez jego mamę albumu zrodził się prezentowany na łamach kwartalnika komiks.







Gustav Molenda

Wielki przemysł w branży włókienniczej

Do najwybitniejszych bielskich przedsiębiorców przełomu XIX i XX wieku należał Gustav Adolf Molenda (1852–1913). Właściciel kamienic przy ul. Cechowej, farbiarni w Bielsku oraz reprezentacyjnej willi w Cygańskim Lesie. Posiadacz wraz z synem Oswaldem i Robertem Mänhardtem trzech fabryk w Kamienicy. *Grossindustrieller* („wielkoprzemysłowiec”), członek Rady Miejskiej Bielska, za zasługi wyróżniony przez cesarza Franciszka Józefa I tytułem c.k. radcy handlowego.

Portret Gustava Molendy pędzla Kazimierza Pochwalskiego, 1912
 Ze zbiorów Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej

Bielszczanin na Morawach

Ojciec przemysłowca, Gustav Erich Molenda (1817–1899), wywodził się z ewangelickiej rodziny sukieników, mieszkającej w Bielsku co najmniej od XVII w. W bliżej nieznanych okolicznościach trafił na Morawy, do położonej na zachód od Brna miejscowości Náměšť nad Oslavou (niem. Namiest), gdzie od 1795 r. działała duża fabryka sukna, założona przez hrabiego Heinricha Wilhelma von Haugwitza. W 1851 r. Molenda jako mistrz przędzalniczy tejże fabryki poślubił katoliczkę Johannę Mikerst (1832–1875), córkę Heinricha, komisarza odpowiedzialnego za sprawy handlowe przedsiębiorstwa. W 1852 r. przyszedł na świat ich pierworodny syn Gustav Adolf, akt urodzenia i chrztu chłopca odnotowano w parafii ewangelickiej w Brnie.

Około 1861 r. Molenda przeniósł się do miasta Žatec (niem. Saaz) w Czechach, gdzie został współnikiem w firmie Zimmermann, Gortana et Co., zajmującej się fabrycznym wyrobem przędzy z wełny owczej. Właścicielami przedsiębiorstwa byli: Karl Zimmermann, fabrykant sukna, Hugo Gortana, kupiec oraz Gustav Molenda, mistrz przędzalniczy. Gdy w 1865 r. firma zbankrutowała, Molenda wrócił na Morawy.

Pismo „Znaimer Wochenblatt” z 12 stycznia 1868 r. donosiło, że „zamknięta przez 1,5 roku fabryka sukna

w Namiest obecnie w pełni pracuje. Także należąca do niej, położona na przeciwległym brzegu Oslawy przędzalnia została niedawno ponownie uruchomiona, przez co wielu tkaczy i robotników dniówkowych zapewnione ma zatrudnienie. Przędzalnią kierują panowie Zurlhelle w Brnie oraz Molenda w Namiest”.

Z ówczesnej prasy wiadomo również, że Gustav Molenda należał do zamożnych obywateli miasta. Jako dyrektor przędzalni i właściciel posesji w 1872 r. wybrany został na stanowisko wiceprzewodniczącego niemieckiego Towarzystwa Pożyczkowego. W grudniu 1875 r. umarła na serce Johanna Molenda, a 59-letni wdowiec w styczniu 1877 r. ożenił się ponownie w Kuřim (niem. Gurein) z 23-letnią katoliczką Albertine Kreuzer, córką leśniczego.

W latach 1882–1885 Gustav Molenda senior prowadził w Namiest własną działalność jako dzierżawca nowoczesnego młyna parowego barona Wiedmanna. Zmarł 20 czerwca 1899 r., pochowano go na miejscowym cmentarzu katolickim.

W tym czasie jego syn, Gustav Molenda junior, który przed 1877 r. powrócił do Bielska, należał już do grupy ważnych przedsiębiorców śląsko-galicyjskiego dwumiasta. Karierę w znacznej mierze umożliwił mu ożenek z Berthą Arndt, córką właściciela farbiarni, spowinowaczonego z elitą przemysłową tego, trzeciego co do wielkości, ośrodka przemysłu wełnianego monarchii nadnaujskiej.

Farbiarnia nad Białą

Teść Gustava Molendy juniora, Ernst Arndt (1822–1886), ewangelik, był synem sukienika z Düben (obecnie Bad Düben) w Saksonii. W 1849 r. przybył do Bielska, gdzie znalazł zatrudnienie jako farbiarz w fabryce sukna Friedricha Zipsera (Plac Fabryczny 4),

Piotr Kenig – Bielszczanin. Historyk, zainteresowany szczególnie dziejami Bielska-Białej w XVIII–XIX w. Emerytowany kierownik Starej Fabryki w Bielsku-Białej. Od 17 lat publikuje na łamach „Relacji-Interpretacji”.



a w 1852 r. poślubił Emmę Karolinę (1828–1910), córkę kupca i burmistrza Karla F. Sennewaldta. Jak odnotowano w prasie wiele lat później, małżeństwo to „otworzyło mu drogę do kręgów patrycjuszowskich naszego miasta”. Szwagrami Arndta byli znani fabrykanci: bracia Erich i Albert Sennewaldtowie, Oskar Gülcher, Ferdinand Wilhelm Hähnel, a także c.k. lekarz sztabowy dr Josef Adler oraz browarnik z Białej Wilhelm Kolatschek.

W 1854 r. Arndt kupił od izraelity Samuela Brüllla farbiarnię wełny, w latach 1835–1850 należącą do ewangelika Eduarda Scholza¹. Posesja ulokowana była nad brzegiem rzeki Białej, na zapleczu dzisiejszych kamienic przy ul. Cechowej 16 i 18. Z jej terenem graniczyły od północy: żydowska synagoga, wzniesiona w 1839 r. (ul. Cechowa 20) oraz zakład apretury sukna wspomnianego wcześniej Brüllla (ul. Cechowa 22), od południa: dom mieszkalny i ogród sukiennika Heinricha Zipsera (ul. Cechowa 16). W 1856 r. Arndt nabył część ogrodu Zipsera, gdzie wystawił nowy obiekt. Wg księgi wieczystej, założonej ok. 1875 r., posesję o numerze konskrypcyjnym Dolne Przedmieście 99 tworzyły: „murowany jednopiętrowy dom mieszkalny, drugi jednopiętrowy budynek mieszkalny i budynek farbiarni wraz z szopą” oraz parcela ogrodowa. Od strony rzeki, pomijając niewielką budowlę pomocniczą, teren dziedzina pozostawał otwarty. Nieco później Arndt kupił od Isaaka Haasa (od 1860 r. właściciela dawnej nieruchomości Zipsera) pozostałą część ogrodu, gdzie wystawił kolejny obiekt przemysłowy.

We wrześniu 1877 r. córka Arndta, Bertha, poślubiła Gustava Molendę, który został współnikiem teścia. W następnym roku na Żywieckim Przedmieściu przy ówczesnej ul. Górskiej (dzisiaj ul. M. Michałowicza 9) wzniesiona została piękna willa, zaprojektowana dla Arndta przez budowniczego Gustava Bleicherta. Być może z inicjatywy Molendy w 1880 r. architekt Emanuel Rost sporządził plany parterowej pralni wełny, kotłowni z maszynownią, stajni i wozowni, które zamknęły dziedziniec farbiarni od strony rzeki Białej.

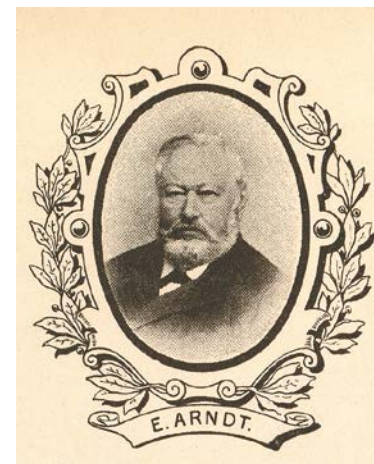
Ernst Arndt zmarł 4 lutego 1886 r., mając 64 lata. Cieszyńska „Silesia” informowała, że pełnił funkcję dyrektora bielskiego oddziału Banku Narodowego, Miejskiej Kasy Oszczędności oraz Bielsko-Bialskiej Spółki Gazowniczej. Wchodził w skład zarządu Banku Handlowego i Przemysłowego. Był skarbnikiem Towarzystwa Przemysłowego, od 1870 r. członkiem Rady Miejskiej w Bielsku, działaczem Towarzystwa Gimnastycznego (1862–1868). Sprawował też urząd kuratora parafii ewangelickiej. W 1864 r. współtworzył Bielsko-Bialską Ochotniczą Straż Pożarną, a w latach 1869–1872 był jej komendantem. Został pochowany w grobowcu Sennewaldtów na starym cmentarzu ewangelickim w Bielsku, gdzie ćwierć wieku później spoczęła również jego żona Emma.

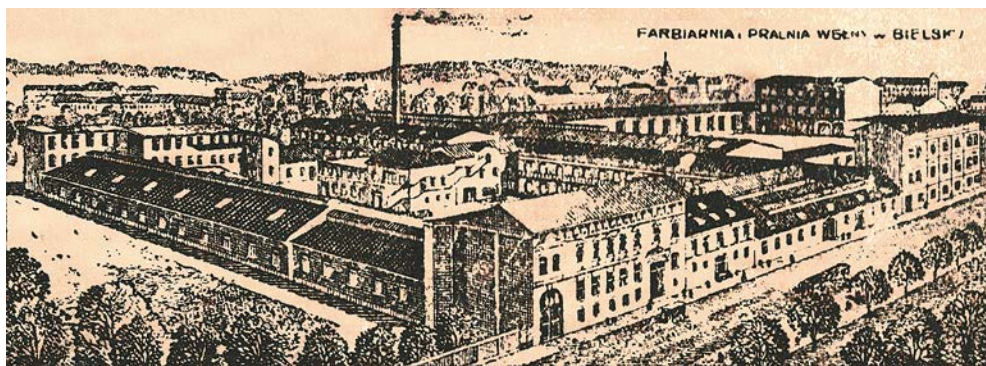
Poza Berthą (1856–1918) Arndtowie mieli jeszcze dwie córki. Helene (1853–1925) poślubiła ewangelika Juliusa Herholza (1839–1919) rodem z miejscowości Reetz (Recz) w ówczesnej Brandenburgii (obecnie woj. zachodniopomorskie). Julius był kupcem, prowadził własną firmę, handlując wełną, przędzą i odpadkami wełnianymi. Mieszkał w kamienicy przy obecnej ul. Cechowej 22 (dawna fabryka Brüllla, od 1882 r. własność Emila Schorra). Przed 1912 r. wszedł w spółkę z izraelitą Moritzem Itzkowiczem i w dzierżawionych pomieszczeniach bliżej nieznannej fabryki prowadził produkcję tkanin wełnianych. Po śmierci teściowej zamieszkał w willi przy ul. M. Michałowicza 9. Grób Herholzów znajduje się na nowym cmentarzu ewangelickim (sektor I, obecnie rodziny Nowakowski-Arzt). Ich syn Alfred, w 1914 r. odnotowany jako dyrektor bliżej nieznanego banku, zmarł w lutym 1944 r.

Marie Arndt (1860–1931) wydana została za Moritza Otto Förstera (1857–1922), współwłaściciela i dyrektora handlowego fabryki sukna przy ul. Młyńskiej (w 1908 r. fabryka przeszła na własność Jakoba Schanzerza). Małżonkowie mieszkali w należącym do nich budynku przy obecnym Placu Żwirki i Wigury 1.

Dom mieszkalny i kamienica Molendów przy ul. Cechowej 16 i 18
 📷 Piotr Kenig

Portret Ernsta Arndta
 📷 Gedenkschrift der Bielitz-Bialaer Freiwilligen Feuerwehr, 1904





Farbiarnia i pralnia wełny
w Bielsku
Ze zbiorów
Muzeum Historycznego
w Bielsku-Białej

Gdy w 1910 r. zmarła wdowa po Arndcie, Emma, jej spadkobiercy w 1913 r. przekazali Ewangelickiemu Stowarzyszeniu Kobiet kwotę 1000 koron, tworząc Fundację im. Emmy Arndt na rzecz sierocińców ewangelickich.

Gustav Molenda

Po śmierci Arndta posesję przy ul. Cechowej 18, dwa domy i zabudowania przemysłowe nad brzegiem Białej formalnie odziedziczyła córka Bertha. Jej mąż przejął firmę, którą prowadził odtąd pod własnym nazwiskiem jako farbiarnię i pralnię wełny (posesja została zapisana na jego własność dopiero w 1899 r.).

W następnej dekadzie nie prowadzono większych inwestycji. W 1887 r. nadbudowano piętro nad budynkiem pralni od strony rzeki. Natomiast w 1892 r. Molenda nabył piętrowy dom przy ul. Cechowej 16 (dawna posesja Zipsera i Haasa, od 1887 r. należąca do Hermana Borgera).

W 1896 r. ukończono budowę reprezentacyjnej kamienicy przy ul. Cechowej 18 (wówczas Tempelstraße 14) z charakterystycznym przejazdem, wiodącym na dziedziniec fabryki. Wyburzono wówczas część najstarszej zabudowy farbiarni w północno-zachodnim narożniku dziedzińca. Niezmiernie ważną inwestycją był zakup od Cäcilie Kohn, z domu Holländer, zbudowanej w 1862 r. kamienicy przy dzisiejszej ul. Cechowej 12. W szczególności chodziło o wielki ogród na jej zapleczu, dający możliwość powiększenia fabryki (dzisiaj te-

Zabudowania dawnej farbiarni
Molendy, 2004
Ewa Janoszek



ren DH Wokulski wraz z dziedzińcem). Nabyto także fragment ogrodu, należącego do nieistniejącego obecnie budynku przy ul. 11 Listopada 11 nad brzegiem Białej.

W 1899 r. na zakupionym terenie dostawiono do dawnych zabudowań fabrycznych halę magazynową – w formie dwóch połączonych ze sobą, podłużnych budynków, nakrytych dachami o równoległych kalenicach. W części zachodniej, od strony posesji przy ul. Cechowej 14, przez budynek prowadził zamknięty bramami przejazd, który umożliwił komunikację pomiędzy starym i nowym dziedzińcem fabrycznym. Od strony rzeki wystawiono wielki komin.

Wschodnią część terenu dawnego ogrodu zabudowano w 1901 r. piętrową halą, wspartą na murze oporowym rzeki. Przed 1910 r. dobudowano do niej poprzeczne parterowe skrzydło, zamykające nowy dziedziniec od południa. Z kolei w 1913 r. budynek w południowo-wschodnim narożniku dziedzińca północnego uzyskał żelbetowe stropy i drugie piętro. Poza ostatnią inwestycją (Pittel & Brausewetter) wszystkie opisane powyżej budynki zaprojektował Karl Korn.

Przełomowy w karierze Molendy był rok 1902, kiedy to 50-letni przedsiębiorca wraz z 24-letnim synem Oswaldem rozpoczęli współpracę z Robertem Mänhardtem, właścicielem dużej fabryki sukna w Kamienicy 118 (obecnie ul. Partyzantów 98). Była to dawna, działająca od 1815 r., przędzalnia Eduarda Leidenfrost, która w 1827 r. przeszła na własność Antona Mänhardta (1796–1854), a później jego syna Rudolfa (1832–1909). Ten ostatni przekształcił zakład w fabrykę sukna i rozbudował. Od 1890 r. firma działała jako spółka Rud. Mänhardt & Sohn z uwagi na wejście do niej Roberta Mänhardta (1865–1946), syna właściciela. Gdy w 1902 r. Rudolf wycofał się z działalności, współnikami Roberta zostali Molendowie².

Połączenie kapitałów umożliwiło rozbudowę i modernizację przedsiębiorstwa, działającego odtąd pod nazwą Molenda, Mänhardt & Co. M.in. w latach 1902–1903 podwojono powierzchnię produkcyjną, wznosząc wg planów Karla Korna południowe skrzydło fabryki i nadbudowując kondygnacje nad maszynownią. W 1908 r. zbudowano nową przędzalnię wełny wtórnej przy ul. Partyzantów 63, a w 1910 r. zakupiono wybudowaną w latach 1897–1898 fabrykę wełny sztucznej braci Halenta przy ul. Partyzantów 71. Odtąd firma dysponowała trzema kompleksami fabrycznymi i była największym, zatrudniającym ok. 800 pracowników, przedsiębiorstwem przemysłu wełnianego na terenie Bielska i okolicy.

Z początkiem 1913 r., po wycofaniu się ze spółki Roberta Mänhardta, firma zmieniła nazwę na Gustav Molenda & Sohn. Farbiarnia i pralnia wełny w Bielsku pozostawała odrębnym przedsiębiorstwem, działającym pod nazwą Gustav Molenda, chociaż i tutaj wspólnikiem Gustava był jego syn Oswald.

Wzorem innych zamożnych Bielszczan, również Molenda zdecydował się na budowę podmiejskiej rezydencji w Cygańskim Lesie. Jak pisze Ewa Janoszek, na początku XX w. powstał tam szereg willi o modernistycznych bryłach, na kamiennych podmurówkach, z wysokimi połaciami dachowymi. Jedną z nich była willa Gustava Molendy z 1907 r. (przy ul. Pocztowej 18), dla której wiedeńska firma Nesveda & Wotzy zaprojektowała założenie parkowe, z wysadzaną drzewami aleją dojazdową i kolistym układem ścieżek w ogrodzie. Architekt samej budowli nie jest znany. W tym samym roku na pobliskiej posesji przy ul. Pocztowej 24 stanęła willa zięcia Molendy, Richarda Bathelta.

Przemysłowiec umarł w swojej rezydencji wieczorem 14 marca 1913 r. 16 marca wiedeńska „Neue Freie Presse” informowała: „Wczoraj w Bielsku po krótkiej chorobie zmarł radca handlowy Gustav Molenda, wybitna postać, znana i wielce szanowana w kręgach przemysłowych. Zmarły wniósł znaczący wkład w rozwój miast przemysłowych Bielska-Białej. Był właścicielem firm Gustav Molenda i Gustav Molenda & Sohn w Bielsku, członkiem Rady Miejskiej, cenzorem Banku Austro-Węgierskiego, członkiem zarządu Bielsko-Bialskiego Banku Eskontowego i Wekslowego, wiceprezesem Żywieckiej Fabryki Papieru oraz Bielskiej Fabryki Wyrobów Emaliowanych SA, a także członkiem zarządu Vöslauskiej Fabryki Przędzy Czesankowej itd.”.

Wydawana w Bielsku „Evangelische Kirchen-Zeitung für Österreich” z 15 kwietnia 1913 r. podkreślała charytatywną działalność zmarłego, który przez 20 lat piastował stanowisko prezbitera gminy: „Po części jego działaniom zawdzięczamy, że nasz Związek Kobiet może poszczycić się tak wspaniałym sierocińcem. Dzięki hojnym darowiznom często wspierał naszą działalność charytatywną. Cześć jego pamięci!”. Pogrzeb odbył się 16 marca na nowym cmentarzu ewangelickim. Podczas nabożeństwa w kaplicy cmentarnej pastor dr Arthur Schmidt wygłosił mowę pogrzebową, opartą na słowach Apostoła: „Kto hojnie sieje, hojnie też żąć będzie”. Ciało zmarłego spoczęło w grobie rodzinnym pod arkadami (nr III).



Potomkowie

Po śmierci Gustava Molendy jedynym właścicielem przedsiębiorstwa został jego syn i dotychczasowy wspólnik, inżynier Oswald Erwin Molenda (1878–1926). W 1907 r. poślubił Else Rosinę Hainisch (1888–1968), córkę Wenzela, właściciela dóbr ziemskich w Czechowicach, wnuczkę Alexandra Zipsera, fabrykanta sukna z Mikuszowic. Małżonkowie mieszkali w willi w Cygańskim Lesie. Tutaj 13 maja 1926 r. niespodziewanie zmarł Oswald. Przyczyną jego śmierci, podobnie jak w wypadku ojca, był wylew krwi do mózgu. Miasto ponownie żegnało zasłużonego obywatela i „wielkoprzemysłowca”. Jego syn i spadkobierca liczył wówczas zaledwie 17 lat. Nie wiadomo, kto zawiadował firmą w następnych latach. Inżynier Oswald Gustav Molenda (1909–1994) jako właściciel przedsiębiorstwa Gustav Molenda i Syn, Fabryka Sukna i Towarów Modnych odnotowany został w „Roczniku Przemysłu i Handlu” z 1932 r.

Kryzys gospodarczy lat 30. XX w. wpłynął także na losy przedsiębiorstwa. W listopadzie 1933 r. Śląski Zakład Kredytowy SA przejął nieruchomość fabryczną w Kamienicy 212 (ul. Partyzantów 71) oraz willę Molendów w Cygańskim Lesie. W następnym roku nowym właścicielem zakładu został Rudolf Deutsch. Natomiast willę kupił Fedor Weinschenck, współwłaściciel fabryki maszyn i odlewni żelaza G. Josephy’ego Spadkobiercy (późniejsza Befama).

„Rocznik Polskiego Przemysłu i Handlu” z 1938 r. informował, że przedsiębiorstwo Gustav Molenda i Syn z siedzibą w Kamienicy 118 założono w 1850 r. (!). Jego właścicielem był Oswald Gustav Molenda, dyrektorem

Fabryka sukna Gustav Molenda i Syn w Kamienicy
📷 Piotr Kenig

Willa Molendów jako dom wczasowy „Bajka”,
widokówka, 1967
📷 Ze zbiorów Piotra Keniga





Portret Oswalda Molendy,
ok. 1910
📷 Ze zbiorów
rodziny Molendów

Katalog wyrobów firmy
Gustaw Molenda i Syn,
ok. 1930
📷 Ze zbiorów
Muzeum Historycznego
w Bielsku-Białej

Tablica epitafijna
rodziny Molendów
📷 Maciej Feodorow



– Artur Królewski, a prokurentami – Gustaw Prawitz i Ernst Kramer. Firma miała oddziały w Bydgoszczy, Gdyni, Grudziądzu, Katowicach, Łodzi, Poznaniu, Toruniu i Gdańsku, a za granicą w Wiedniu, Budapeszcie, Kairze, Rydze, Istambule i Hamburgu. Dysponowano kapitałem w wysokości 1 500 000 zł. Działy: przędzalnia i pralnia wełny, tkalnia, farbiarnia, wykończalnia. Napędu dostarczały maszyny parowe o mocy 770 KM oraz silniki elektryczne o mocy ok. 60 KM, zatrudniano 360 robotników, 23 pracowników technicznych oraz 38 urzędników. Produkowano sukno, tkaniny wełniane zgrzebne i czesankowe (kamgarny), tkaniny ubraniowe i na obuwie, a także szewioty oraz koce. Sprzedaż w 1936 r. wyniosła 2 000 000 zł. Właściciel przedsiębiorstwa był członkiem zarządu Konwencji Fabrykantów Sukna Bielska, Białej i Okolicy.

Tuż przed wybuchem wojny, 9 sierpnia 1939 r. Oswald Gustav Molenda (zazwyczaj używający tylko drugiego imienia) poślubił Ingeborg Hess (1918–1998), córkę zmarłego w 1919 r. Oswalda, fabrykanta sukna z Białej. Do żony należała odziedziczona po ojcu willa w Cygańskim Lesie, przy ul. Grzybowej 8, w której małżonkowie mieszkali do 1945 r. Później opuścili Bielsko i resztę życia spędzili w Austrii – w Salzburgu. Siostrą Oswalda vel Gustava była Kitty Meta Molenda (1908–1955), handlowiec z tytułem doktora, która zmarła jako panna w Brazylii, we Florianopolis, gdzie mieszkali krewni Zipserów.

Przypomnijmy w tym miejscu losy pozostałych potomków Gustava i Berthy Molendów. Bruno (1879–1897) zmarł jako osiemnastoletni młodzieniec na zapalenie płuc w Namiest podczas wizyty u rodziny, tam też został pochowany. Gertrud Erna (1882–1948) była żoną Richarda Bathelta (1868–1956), fabrykanta sukna. Małżonkowie mieszkali w willi przy ul. Pocztowej 24, po 1945 r. trafili do Wiednia. W naddunajskiej stolicy mieszkał także i pracował Otto Molenda (1885–1924), urzędnik, zapewne kawaler; urnę z jego prochami złożono w rodzinnym grobowcu w Bielsku. Heinrich Ochsner (1872–?), c.k. radca ministerialny w Wiedniu, potomek białskiej linii rodziny, poślubił w 1907 r. Margarete Molenda (1887–?). Mężem Hildegard (1892–1975) był Otto von Schüch (1876–1941), katolik rodem z Salzburga, rotmistrz stacjonującego w Bielsku c. i k. 3 pułku ułanów Arcyksięcia Karola; mieszkali w Wiedniu. Najmłodszy z rodzeństwa, Herbert Gustav (1898–1971), inżynier rolnictwa, ku-



piec w Wiedniu, w 1926 r. poślubił Mary Annę Zipser (1900–1964), córkę Eduarda Zipsera, fabrykanta sukna


z Mikuszowic. Małżonkowie przez pewien czas przebywali w Brazylii, Herbert był konsulem honorowym Austrii w St. Catharina.

Fabryki Molendów po roku 1945

Farbiarni w Bielsku nie odnotowano pośród firm Bielska, Białej i okolicy, które w 1948 r. utworzyły Państwowe Zakłady Przemysłu Wełnianego nr 14. Bez wątplenia współdziałała z sąsiednimi upaństwowionymi fabrykami sukna: Landesmann & Kornhaber (PZPW nr 14 zakład B, ul. Cechowa 22), Karola Riesenfelda „Ka-Ri-Bi” (PZPW nr 14 zakład A, obecnie ul. Cechowa 24-26) oraz Sternickel & Gülcher (PZPW nr 14 zakład U, Biała, ul. J. Piłsudskiego 2). W 1950 r. owe trzy kompleksy fabryczne połączono w ZPW im. Pawła Findera, od lat 70. XX w. działające pod nazwą „Finex”.

W 1968 r. rozebrano hale w południowej części dawnej farbiarni, zastępując je nowym obiektem, dzisiejszym DH Wokulski. Starsze zabudowania, zajmujące północną część historycznego przedsiębiorstwa, wyburzono w 2007 r. pod budowę Galerii Handlowej Sfera II. Najbardziej na południe wysunięta część tego nowoczesnego kompleksu, mieszcząca na parterze księgarnię Empik, nawiązuje wyglądem do stojącego tu niegdyś budynku.

Fabryki przy ul. Partyzantów 63, 71 i 98 w Kamienicy w 1948 r. weszły w skład Państwowych Zakładów Przemysłu Wełnianego nr 14 (Zakład L), w 1950 r. stały się częścią ZPW im. Mariana Buczka, a w 1964 r. włączono je do ZPW im. Józefa Magi „Lantex”. Od 1976 r. działały jako oddział ZPW „Wega” (zakład C). Działalność produkcyjną zakończono po 1989 r. i od tego czasu wszystkie trzy obiekty wykorzystywane są w celach komercyjno-handlowych.

Willi Molendy w Cygańskim Lesie, w czasach PRL-u służąca jako dom wypoczynkowy FWP „Bajka”, znajduje się w rękach prywatnych. 

¹ Eduard Scholz (1811–1867) był starszym bratem Moritza (1813–1880), fabrykanta sukna, burmistrza Bielska w latach 1867–1880. Po sprzedaży bielskiej farbiarni przeniósł się do Komorowic-Barku, gdzie dzierżawił folwark Habsburgów z Bestwiny.

² Zob. P. Kenig, *Mänhardtowie w Bielsku i Białej* [w:] „Relacje-Interpretacje” 2009, nr 3, s. 22-26.



Łukasz Giertler

Wrócić do siebie

Od wielu lat Bielsko-Biała mierzy się z potężnym kryzysem tożsamościowym, który ma bezpośrednie przełożenie na kulturę w mieście. Wynika to z trudnego dziedzictwa – mnóstwa wydarzeń z przeszłości, którym należało stawić czoła. Przez dekady wiele tematów budziło emocje, jednak dzisiaj można spojrzeć na nie z dystansem i odpowiedzialnie kreować dobrze ugruntowaną tożsamość lokalną.

I o tym właśnie rozmawiam z prof. Ewą Chojecką, która 18 marca 2026 r. na Zamku Królewskim w Warszawie została uhonorowana prestiżową Nagrodą im. prof. Aleksandra Gieysztorza za wieloletnie zaangażowanie w ochronę i popularyzację dziedzictwa kulturowego Górnego Śląska, a także konsekwentne budowanie dialogu międzykulturowego. Prof. Ewa Chojecka, uznana historyczka sztuki, autorka ponad 150 publikacji naukowych i popularnonaukowych, od lat integruje środowiska badaczy i twórców reprezentujących niezrędko odmienne perspektywy i doświadczenia, tworząc społeczeństwo oparte na otwartości i wzajemnym szacunku. „Dorobek pani profesor mówi sam za siebie. Po raz pierwszy od 27 lat nagrody kapituła zwraca się ku Górnemu Śląskowi. To wybitna postać, wielka uczona, ale też osoba z pasją i misją, która od ponad pół wieku

Prof. Ewa Chojecka
w domowym zaciszu
(na poprzedniej stronie)
📷 Łukasz Giertler

zmienia oblicze regionu, pomaga odkrywać i propagować jego wartości” – podkreślał przewodniczący kapituły prof. Jacek Purchla.

Łukasz Giertler: Jak w świecie globalnej kreatywności wygląda Bielsko-Biała, patrząc przez pryzmat tożsamości, dziedzictwa kulturowego i historii?

Ewa Chojecka: Bielsko nie przerobiło swojej historii i nie odrobiło lekcji. Obok historii lansowanej przez kolejne ministerstwa edukacji mamy drugi nurt, wynikający z faktu bycia pograniczem. Pogranicze to nie jest monokultura. To zawsze mieszanka rozmaitych elementów, które się składają na różnorodną jakość. Wydaje mi się, że to jest znacznie ciekawsze niż te nudne monokultury, centralnie sterowane i dzisiaj trochę przestarzałe.

Czy wymaga to przełamania konformizmu społecznego i unikania koniunkturalizmu?

Koniunkturalizm zawsze istnieje i jest to rzecz naturalna. Ale jesteśmy tutaj po to, żeby stawiać niewygodne pytania: czy aby naprawdę? czy aby nie inaczej? W wielu przypadkach nie ma na nie odpowiedzi, dlatego że ludzie boją się mówić o pewnych rzeczach, fundując sobie autocenzurę, która niepokojąco rośnie. Jeszcze paręnaście lat temu nie było to tak zauważalne, jak dzisiaj. Postarajmy się uchwycić, jak w obecnej sytuacji postrzegamy zachwyty nad sobą, który powinien być raczej ostrzeżeniem, bo powoduje, że zsuwamy się w kierunku popkultury oraz powierzchowności. W rezultacie możemy nie dostrzec tego, co najcenniejsze i co może stanowić o istocie nowego spojrzenia na znane zjawiska, inaczej wyglądające tu, na południu, inaczej w centralnej części województwa. Stare granice polityczne wskazują na pewne odmienności.

Rysują się tu cztery obszary dawnego Śląska tzw. austriackiego: cieszyńskie, dawna niemiecka wyspa językowa w Bielsku (na wschód od cieszyńskiego), Biała (w historycznej Małopolsce) i Żywiecczyzna. Zatem cztery duże tematy, które należą administracyjnie do jednej całości, ale mają też swoje niuanse, odcienie. Duże tematy – nie prowincjonalne, lecz o charakterze europejskim! Pierwszy przykład z brzegu, który podam jako historyk sztuki, to nasza substancja architektoniczno-urbanistyczna. Zaczniemy wycieczkę od kościoła św. Stanisława w Starym Bielsku, z jego legendami, freskami i całym wdziękiem małej architektury kościelnej średniowiecza. Kawalek dalej odnajdziemy klasyczną formułę miasta, zakładanego na prawie magdeburskim, co widać, gdy przejdziemy przez średniowieczne mury do

Bielska. Obok tego mamy dobudówkę po patencie tolerancyjnym Józefa II w postaci Bielskiego Syjonu i ewangelików, którzy pielęgnowali swoją wiarę, a zarazem okazali się ludźmi nad wyraz pracowitymi i gospodarnymi, budującymi od początku bielski przemysł i dobrobyt.

Znała Pani osobiście prof. Aleksandra Gieysztorę, którego imienia nagrodę niedawno Pani otrzymała. Zarówno on, jak i Pani zawsze praktykowaliście ideę, w myśl której istotną rolę odgrywa ciągłość kulturowa. W jakim kierunku – w kontekście tożsamości – powinna pójść bielska kultura?

Bielsko jest klasycznym, modelowym przykładem wielowątkowości. Wielokulturowość – słowo, które się wytarło i ostatnio niewiele znaczy, w swoim pierwotnym sensie łączyło wielość pokojowo współistniejących nurtów. To tworzyło naturalną strukturę, nie gorszą od tej jednorodnej, lansowanej przez władze centralne monokultury. To jest trudne. Zderzenie z innością często rodzi wewnętrzną irytację i domaga się wysiłku, by zrozumieć drugiego człowieka. Ale gdy się przezwycięży pierwszy moment dyskomfortu i zagubienia, okazuje się, że świat jest szeroki i przyjazny – można przekraczać różne granice bez niebezpieczeństwa wejścia na minę.

Jakby przyłożyć tę myśl do obszaru od Cieszyna, Bielska-Białej do Żywca, okazałoby się, że podziałów nie brakuje. Pytanie: czy będziemy te podziały pielęgnować jako element wrogości, czy jako wyzwanie do poznawania ciekawego świata? W gruncie rzeczy, jadąc przez Europę, mimo że granice są otwarte, to nadal je widzimy. Jako turystom nie przeszkadza nam, że znajdziemy się w innym świecie – nastawiamy się na odmienności, więc jest sympatycznie, że gdzieś inaczej mówią, inaczej jeżdżą, inaczej myślą. W domu natomiast robimy się nieznosni i potrafimy kłócić się z sąsiadem, który się od nas różni.

Kontynuujmy zatem naszą wycieczkę...

Tak, miasto się rozwinęło. Znamy jego początki. Zaraz na rzecze Białej była granica i po drugiej stronie znajdowała się Małopolska, przemianowana na Galicję po pierwszym rozbiore. Biała przeżyła swój rozwój, tak na dobrą sprawę, dopiero pod zaborem austriackim. To jest historia dawna, ponieważ migracje ludnościowe i rozwój gospodarczy, przypadające na wiek XIX, zacierają różnice między miastami. A te zraszały się dużo wcześniej, niż ich administratorzy to przewidzieli. Administracyjnie Bielsko i Białą połączono dwukrotnie: w czasach Trzeciej Rzeszy, a następnie w czasach stalinowskich (1951 r.). Zrobiono to w intencji przymusowego ujednoczenia, podług reguł ustrojów dyktatorskich,

Łukasz Giertler
– Bielszczanin, historyk,
przewodnik, wydawca.
Zainteresowany przede
wszystkim historią Bielska-
Białej i okolic. Badacz
niemieckiej przeszłości miasta.



Rzeźby wieńczące ratusz w Bielsku-Białej: Eirene i Plutos
 Agnieszka Miklar

mimo że już dawno stanowiły jeden organizm, tyle że o wielu twarzach.

Rozmawiamy natomiast o innościach, które mogą być twórczym dziedzictwem, a nie barierą i awersją. Do naszego obrazu wielości dołączyć trzeba jeszcze coś: element karpacki, pogranicze z Węgarami; ten piękny rozdział, w którym mamy migrację Wołochów idących ze stadami owiec szczytami Karpat – ze wschodu na zachód, aż do Bramy Morawskiej. Jest wreszcie wielki rozkwit technologiczny, który nastąpił w Bielsku i Białej w XIX w. Są jeszcze przełomy historyczne – największy i najpotężniejszy to czas II wojny światowej i rok 1945. Wtedy urywa się historia Bielska i Białej oraz dorobek okresu międzywojennego.

Osobnym wątkiem jest samorząd. Znany był w tym mieście od średniowiecza, a w latach 60. XIX w. ukształtował się na sposób awangardowy. To jest sprawa, o której zapomnieliśmy. Dzisiejszy samorząd nie jest tym, co kiedyś. Tradycje znane z czasów austriackich, kontynuowane w dwudziestoleciu międzywojennym, zniknęły bezpowrotnie w 1939 r. O ówczesnym modelu samorządności świadczą Komunalne Kasy Oszczędności – zachowane budynki przypominają jeszcze tę historię. Przejdźmy naszym traktem dalej, do Białej, która rozwinęła się jako bliźniacze miasto. Najciekawszym obiektem jest świetnie zachowany ratusz, wzniesiony w stylu historyzmu obowiązującego wtenczas w całej Europie. To interesujące, że rozwijając technologicznie przemysł, w innych dziedzinach opierano się na wzorach historycznych. Forma bielskiego ratusza jest tego dowodem. To dzieło wysokiej klasy. Taki obiekt mógłby stać w każdym ówczesnym europejskim mieście. Dodajmy,

że w budynku tym również znajdowała się – tym razem bialska – Komunalna Kasa Oszczędności. Co to oznaczało? Samorządy dysponowały własnymi środkami na miejskie inwestycje: wodociągi, kanalizację, sieci gazowe, elektryczność, tramwaj w Bielsku. Samorządy wszystko to same sobie wypracowały, same posiadały środki na rozwój miasta – nie trzeba było zwracać się o finanse do Wiednia czy Warszawy. W tym kontekście proszę zwrócić uwagę na rzeźby na szczycie ratusza: bogini Eirene, która trzyma w ręku róg obfitości, obok niej stoi ul pszczeli i pucułowaty chłopczyk Plutos – bóstwo dostatku; nad nimi znajduje się tarcza herbowa z pszczołą, symbolizującą pracowitość. *Sapienti sat* – dobrobyt nie bierze się z kombinowania, tylko z sumiennosci, solidności, gospodarności. To była podstawa tamtej nowoczesności, przerwanej II wojną światową.

Na to w tamtym czasie nałożyła się wielonarodowość oraz istnienie niemieckiej wyspy językowej, która zbudowała tutaj zarówno cywilizację, jak i sztukę. Następne pokolenia, choć mówiące innym językiem, w sposób naturalny przejęły zastane dziedzictwo. Same zostały „zruczone” na teren, gdzie przyszło im mieszkać. Nie będziemy przecież burzyć wszystkich domów czy teatru w Bielsku, bo Niemcy to budowali. Przed tym samym problemem stanęła w innym czasie Warszawa z Pałacem Kultury i Nauki. To tzw. trudne dziedzictwo. Pojęcie to ma za zadanie ułatwić nam zrozumienie, że historia nie jest czarno-biała, to nie są dzieje gloryfikowanej przeszłości. Jest to nasze dziedzictwo, które musimy zrozumieć, a nie niszczyć, bo ktoś mówi w innym języku, jest innej wiary *etc.*

Bielsko stanęło przed problemem. Przejęło owe dziedzictwo z wcześniejszych okresów po ciężkiej wojnie i najeździe Armii Czerwonej. Co z tym wszystkim zrobić? Substancja urbanistyczna została wprawdzie zachowana, ale bez pamięci, która została przerwana, unicestwiona. Równocześnie przybyli nowi mieszkańcy – przejęli tylko materialną formę, bez historycznej tradycji i pamięci. Wszystko to szło w parze z narzuconą ideologią jednorodności narodowej. Powstał zgrzyt; pojawiła się bezradność, milczenie, zamiatanie pod dywan. Zdawało się, że problemu już nie było, a tymczasem on w sposób naturalny wyrósł na nowo, po latach, w postaci trudnych pytań.

W 2023 r. amatorski film *Śmierć wyspy* w reżyserii Dariusza Tomalaka znalazł wielu odbiorców, chcących dowiedzieć się prawdy o Bielsku-Białej, bo historycy im tego nie mówili; historia była narzucona z góry. Na marginesie:



do dzisiaj nie ma edukacji regionalnej z prawdziwego zdarzenia. Widzę tu ogromny potencjał dla nowych inicjatyw, ale musi nastąpić zmiana mentalności. Nie można w tym zakresie wprowadzać cenzury, dzielić ludzi na „tych” i „tamtych”. Przyjrzyjmy się „tamtym”, stworzymy wówczas obraz daleko pełniejszy. To będzie wspinały wielogłos niczym orkiestra. Bez wszystkich instrumentów symfonii Beethovena nie zagramy.

Dziś osobną rolę odgrywa instytucja, która niemal wbiła się w tkanekę miejską. Na początku spoglądałam na nią ze zdumieniem, ale też z rosnącą aprobatą. Nie pasowała do niczego, była inna, awangardowa, a jednocześnie od pierwszej chwili została przez wszystkich zaakceptowana i pozytywnie przyjęta. Cavatina. Jej plastyczna forma w niczym nie przypomina ratusza ani starego miasta, ani kościoła św. Stanisława. To nowy rozdział ww. orkiestry. Forma pozornie zdematerializowana, lekka, jakby pęczniająca w oczach, przeciwstawienie wszelkiego historyzmu. Takiej architektury inne miasta nie mają. Jest jak wielka rzeźba, przestrzenna kompozycja. Rzekomo nie pasuje do historii i tradycji, ale do umysłów ludzkich trafiła. Z resztą trzeba uczynić to samo – zaakceptować jako kolejne rozdziały naszego dziedzictwa. Bo, w gruncie rzeczy, wszystko to, co mamy w Bielsku, zostało kiedyś przywiezione i z czasem zadomowiło się jako swoje.

Wspomniała Pani o dziwnie nastawionej architekturze miasta. Wiele osób przyjeżdżających do Bielska-Białej twierdzi, że czuje tu ducha XIX w. Nie sposób jednak

Z Nagrodą im. prof.
Aleksandra Gieysztor
☒ Jarek Jaworski



oprzeć się tezie, że to kwestia wyłącznie architektury, gdyż kultura mieszczańska Bielska zniknęła. Czy miasto ma szansę ugruntować swoją tożsamość i rozwijać kulturę bez jednoczesnego wypełnienia białej plamy po dawnych mieszkańcach?

Ta plama już pozostanie w pamięci; trzeba tylko otwarcie mówić, że była. Podam jeden przykład. Bielsko, zachowując całą substancję miejską, znalazło się w dużo trudniejszej sytuacji, niż gdyby całe zostało zburzone. Nie życzę, żeby coś takiego się stało. Rzecz w tym, że tutaj relacje z żywiołem niemieckim były inne niż np. we Wrocławiu. W Bielsku ludność była wymieszana i w tym wymieszaniu żyła. Do tego wszystkiego nakierowana była na Wiedeń, Austrię, także na wielokulturowość bałkańską, o której zapomnieliśmy. Wskutek swojej wielowątkowości i z uwagi na presję ideologiczną centralnej władzy sytuacja w Bielsku była trudniejsza do ogarnięcia.

Dla Wrocławia rok 1945 to był koniec świata – ludność wypędzono bądź zbiegła; miasto było w ruinie. Wielką falą napłynęli ludzie, ale nie ci z sąsiedztwa. Nie przybył nikt za lepszym życiem, lecz ci, którzy nie mieli wyjścia: wygnani Kresowianie ze Lwowa, Tarnopola, Stanisławowa itd. Rzucono ich na ruiny, nie do gotowych mieszkań. Przykładowo: naukowcy z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie wylądowali wraz ze swoim rektorem we Wrocławiu. Z wielkim wysiłkiem i mentalnością pionierów odbudowywali miasto i instytucję swojego uniwersytetu. Oni znali wielokulturowość i wszystko, co zastali we Wrocławiu, wzięli i zaakceptowali jako swoje dziedzictwo. O dawnym uniwersytecie zaś mówili: „nasz”. Jestem pełna podziwu dla umiejętności takiego przejścia zastanego, obcego dziedzictwa.

Zaproszono mnie kiedyś na uroczystości 200-lecia Uniwersytetu Wrocławskiego. Zaprezentowano wówczas galerię portretów uczonych jako „naszych wrocławskich poprzedników”, laureatów nagrody Nobla z XIX w. jako akademickich antenatów obecnej uczelni. I to jest ten model, do którego Bielsko gorąco zachęcam!

Czy widzi Pani szansę, żeby tę naszą historię – za pomocą kreatywnych działań – powiązać ze sobą? Czy możliwe jest nawiązanie do przedwojennego mieszczaństwa?

Trzeba pozbyć się stereotypów z czasów minionych. Jeżeli będziemy posługiwać się pojęciami typu „wróg klasowy”, „każdy Niemiec to hitlerowiec”, to daleko nie ujedziemy. Musimy myśleć jak Wrocławianie. Zobaczycy dawnych Bielszczan w innej perspektywie i pozbyć się

kompleksu niższości. Nie jesteśmy na etapie pańszczyźnianej mentalności. Mamy pokolenie wykształconych ludzi, którzy nie muszą mieć kompleksów z racji statusu społecznego, pochodzenia itd. To ludzie tacy sami jak w całej Europie. Możemy więc pozwolić sobie na to, by spojrzeć na problem z tego samego poziomu, co w innych krajach. Możemy zobaczyć tutejsze blaski i cienie, i powiedzieć: „to jest nasze niełatwe dziedzictwo”. Z powieści *Horn i synowie* czy sztuki *Rasenplan* (o tajnych nabożeństwach ewangelickich) wylania się obraz miejscowych antenatów – tych, którzy w mozole i trudzie, a także w swoich słabościach i niekiedy nikczemnościach budowali tutaj ówczesną rzeczywistość. Historia jest dziedzictwem trudnym. To nie jest opowieść dla grzecznych dzieci.

Mamy teraz nowe generacje Bielszczan. Rodziny, które są trzecim, czwartym czy nawet piątym pokoleniem żyjącym w tym mieście. Słusznie, że czują się tu u siebie. Czy widzi Pani szansę, aby za sprawą książek Hoinkesa czy innych twórców współcześni Bielszczanie mogli „umoić” lokalną kulturę?

Myślę, że tak. W gruncie rzeczy te pokolenia są bardzo podobne. To pragmatycy. Dla nich dwa i dwa to cztery, nie trzy, pięć, i nie sześć. Wy jesteście jak Horn, bohater Hoinkesa, tylko tego nie wiecie. Mówicie innym językiem, ale jesteście bardzo podobni. Różnice językowe często nie stanowią różnicy mentalnej. Możemy jednym językiem przejmować kulturę innego języka. Przecież my to znamy w Europie; takie rzeczy dzieją się, są na porządku dziennym. Jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę dzisiejszą, wielką migrację, którą mamy z Ukrainy, to będziemy mieli kolejną multijęzyczną tradycję.

Uważam, że w Bielsku edukacja jest niekompletna. W szkołach nie uczą tego, co tu było. Edukacja regionalna w ogóle nie istnieje. Moim zdaniem dzieci powinny wyjść ze szkoły ze znajomością czterech języków – polskiego, niemieckiego, łaciny i angielskiego. Łacina jest konieczna. Brak łaciny objawia się problemami w posługiwaniu się nawet językiem polskim. Widzę duży brak w porządnej nauce łaciny i niemieckiego na tym terenie. To jest zadanie dla miejscowego uniwersytetu, aby przygotować nowe kadry pedagogiczne.

Czy uważa Pani, że aktualnie prowadzone działania kulturalne w mieście są adekwatne do tego, co powinniśmy przedstawiać w kontekście naszego dziedzictwa kulturowego?

Sądzę, że robi się za mało i więcej na ten temat nie chcę się wypowiadać. W tym momencie jest takie zaognienie

tych dyskusji, że stają się one nierzeczowe. Powinniśmy ochłodzić umysły i się zdystansować.

Czy w ferworze tej dyskusji możemy doszukiwać się światełka nadziei na zmianę w inicjatywach oddolnych?


Tylko i wyłącznie. To są sprawy, które pęcznieją w tym mieście, w pewnym momencie wychodzą i znajdują aprobatę.

Zdaje się, że te oddolne inicjatywy, których w Bielsku-Białej nie brakuje, stanowią kontynuację przerwanej historii...

Tak. Proszę zobaczyć piękny album poświęcony dawnej architekturze Bielska. Każdy pyta, kto to zbudował? Ta książka pokazuje Bielsko jako Europę. Tutaj inaczej rozumie się regionalność. To inaczej wygląda z kolei w Cieszynie, inaczej w Żywcu. Do tego dołączają powiązania czeskie – bardzo namawiam, żebyśmy się bardziej zbliżyli i zrozumieli stronę czeską. To świat gościnny i pełen czegoś, czego nam brakuje – Czesi mówią o sobie bez heroizacji. Ich pragmatyzm jest mi bliski. Nie tylko Švejk, ale przede wszystkim Jiří Gruša, ich wielki pisarz, który potrafił stworzyć powieść o własnej ojczyźnie i zatytułować ją *Czechy. Instrukcja obsługi*. Znakomite wprowadzenie w autentyczną przyjaźń polsko-czeską, bez wypominania sobie wzajemnych krzywd do końca świata.

Czego życzy Pani obecnym i przyszłym Bielszczanom? Co mogliby jeszcze zrobić na rzecz szerzenia kultury, ale i kreatywności, która wydaje się kluczem do odkrywania samych siebie?

Żeby nie było nienawiści. Żebyśmy czerpali nadal wszelkie zyski z istnienia pokoju. Za miedzą jest wojna i tam kultura się kończy. Postrzegam tę sprawę jako wielkie ostrzeżenie, że pokój, w którym żyjemy od ponad 80 lat, nie jest nam dany na zawsze. Winniśmy pamiętać, że katastrofa 1945 r. nastąpiła w wyniku wojny i tego, co do niej doprowadziło.

Musimy w Bielsku-Białej zbudować przestrzeń domu, w którym będziemy się czuli u siebie. Tymczasem każdy ma nieco inną wizję tego domu, każdy chce go budować inaczej. Klócimy się, jak to ma wyglądać, kto może tu w ogóle mieszkać. Pojęcie domu jest nam potrzebne, żeby mieć dokąd wrócić i to z prawdziwą radością. Dom w kulturze śródziemnomorskiej to mityczne podejście do przestrzeni i rodziny – ostoja pamięci, symbol tożsamości, poczucie bezpieczeństwa, do którego powinniśmy zmierzać. Jeśli robimy zabawy i festyny, to świetnie, ale świadomości prawdziwego naszego domu tym nie zbudujemy. Chcemy być tam, gdzie panuje pokój, dobre słowo i bezpieczeństwo. Nasza Itaka. 

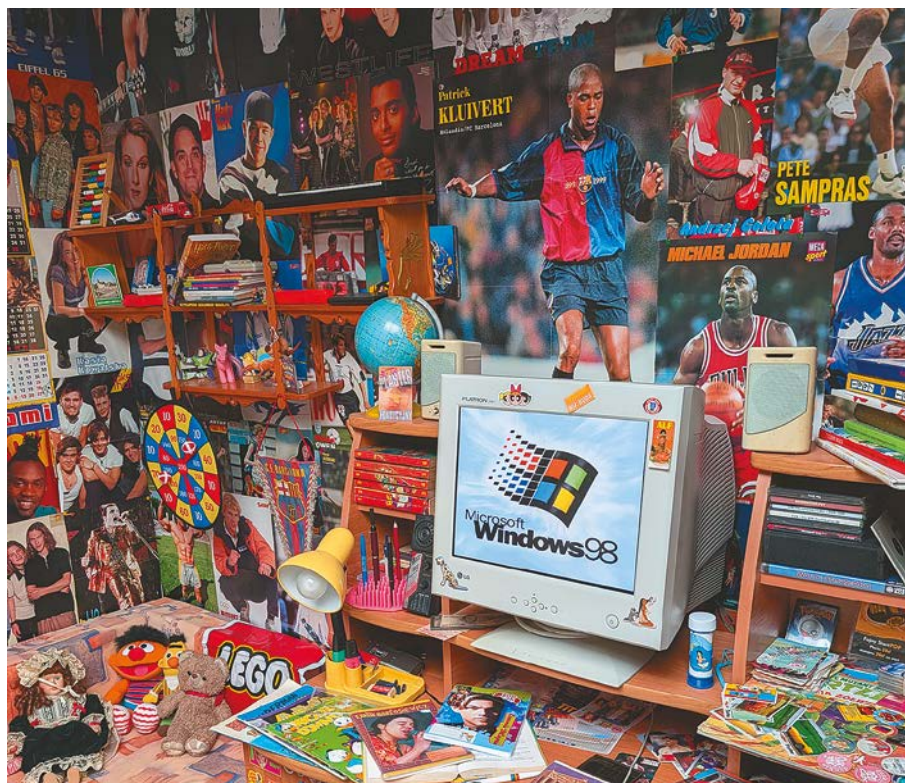
Sebastian Balcerzak

Lata 90. XX wieku w Polsce to czas fascynujących paradoksów; okres, który wymyka się jednoznacznej definicjom. Z jednej strony wciąż odczuwalna była szarżyzna odchodzącego systemu, z drugiej zostaliśmy wrzuceni w sam środek neo-nowego wybuchu kapitalizmu. To dekada pachnąca gumą Turbo, szeleszcząca ortalionowymi dresami i brzęcząca charakterystycznym piskiem modemu, który z mozołem łączył nas z raczkującym Internetem. Dla jednych był to czas trudnej, systemowej transformacji, dla innych – w tym dla mnie – okres beztrudnego dzieciństwa i dorastania, kiedy każdy dzień przynosił coś nowego. To właśnie z tego głębokiego sentymentu i wielkiej potrzeby zatrzymania ulotnych wspomnień 22 listopada 2025 roku w Bielsku-Białej otworzyłem Muzeum Lat 90.

Przypadek, który stał się pasją

Często jestem pytany, dlaczego zdecydowałem się poświęcić tyle energii i czasu akurat tej dekadzie. Urodziłem się w 1989 r. Nie pamiętam kolejek po mięso na kartki ani przytłaczających realiów PRL-u. Moja świadomość i postrzeganie świata budowały się w rzeczywistości, w której granice nagle przestały istnieć, a na półki sklepowe zaczęły trafiać rzeczy, o których wcześniejsze pokolenia mogły tylko pomarzyć. Pomysł na stworzenie muzeum pojawił się wraz z planem wykreowania czegoś zupełnie od podstaw – miejsca, które dla osób urodzonych w latach 80. i 90. minionego wieku będzie niczym wehikuł czasu. Pragnąłem stworzyć przestrzeń, w której, choć na chwilę, można się zatrzymać, odłożyć na bok dzisiejszy pośpiech i przypomnieć sobie, jak wyglądało nasze życie jeszcze 30 lat temu.

Wszystko zaczęło się całkiem przypadkowo. Pewnego dnia, tuż po wizycie w jednym z bielskich muzeów, przeglądałem Internet i natrafiłem na krótką kompilację przedmiotów zapomnianych, a przecież niegdyś kultowych. Na ekranie mignął mi szary Pegasus, stos kaset VHS, błyszczące tazosy i kolorowe karteczki do segregatora. W jednej chwili na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a w głowie odżyły dziesiątki wspomnień.



Wehikuł czasu

Oglądając te przedmioty, poczułem, że mają one w sobie niezwykłą, niemal magiczną moc. Wystarczyło na nie spojrzeć, by niemal fizycznie poczuć zapach niedzielnego obiadu jedzonego przy dźwiękach programu „Disco Relax” czy przypomnieć sobie wypieki na twarzy towarzyszące pierwszej sesji w „Super Mario Bros”.

Wtedy właśnie zaświtała mi myśl: a gdyby tak zebrać to wszystko w jednym miejscu? Pouklądać, opisać, ocalić od zapomnienia i zaprezentować innym? Gdy zacząłem zgłębiać temat, z przerażeniem zauważyłem, że artefakty z tamtych lat znikają w błyskawicznym tempie. Ludzie bez żalu wyrzucali stare meblöścianki na śmietnik, magnetowidy oddawali na złom jako przestarzałą technologię, a bezcenne niegdyś kolekcje tazosów lądowały w koszu podczas przeprowadzek. Poczułem, że jeśli nikt nie postawi tamy tej fali zapomnienia, namacalna historia naszej codzienności z lat 90. XX w. po prostu przestanie istnieć. Postanowiłem więc, że to ja będę tym, który ją uratuje.

Dbalność o każdy detal

Przygotowanie projektu muzeum – od pomysłu do wielkiego otwarcia – zajęło mi blisko dwa lata intensywnej pracy. Od samego początku miałem jasną wizję:

Sebastian Balcerzak

– Bielszczanin, absolwent wychowania fizycznego, związany z branżą sportową i sektorem eventowym. Kolekcjoner artefaktów z czasów transformacji. Muzeum Lat 90. to jego autorski projekt.

nie chciałem, aby była to tylko kolejna nudna wystawa, gdzie przedmioty martwo spoczywają za szybą. Zależało mi na stworzeniu miejsca interaktywnego, które oddziałuje na wszystkie zmysły i pozwala gościom wejść w tamtą epokę.

Zanim wbiłem pierwszy gwóźdź w ścianę lokalu przy ul. Konstantego Damrota 10, stworzyłem gigantyczną, szczegółową listę. Przez długie miesiące wertowałem stare kroniki, przeglądałem setki rodzinnych albumów (nie tylko własnych) i konsultowałem się z ludźmi, którzy w tamtym czasie prowadzili pierwsze prywatne firmy, otwierali osiedlowe sklepy czy po prostu urządzali pierwsze, wymarzone mieszkania. Chciałem, aby każdy detal był autentyczny – od konkretnego wzoru boazerii na ścianie, przez kasetony na suficie, aż po specyficzny rodzaj szklanek w kuchni. Ci, którzy mnie znają, wiedzą doskonale, że jeśli się za coś zabieram, to robię to z niemal pedantyczną dbałością o szczegóły. I tutaj też nie było miejsca na kompromisy.

Gromadzenie eksponatów okazało się wyzwaniem logistycznym na ogromną skalę. A takie wyzwania są dla mnie jak paliwo – dają podwójnego kopa do działania. Muszę przyznać, że proces poszukiwań sprawiał mi olbrzymią, niemal dziecięcą radość. Większość przedmiotów kupowałem osobiście, śledząc aukcje internetowe, odwiedzając giełdy staroci i nawiązując kontakty z prywatnymi kolekcjonerami w całej Polsce. Niektóre perełki wymagały niesamowitej cierpliwości. Np. oryginalnych aparatów telefonicznych marki Urmet, które kiedyś wisiły niemal na każdym osiedlu, czy nienaruszonych opakowań po kultowych słodyczach z epoki, szukałem całymi miesiącami. Niewielką, ale bardzo cenną część kolekcji zasilili dary od ludzi, którzy usłyszeli o mojej inicjatywie i chętnie oddawali swoje pamiątki, ciesząc się, że ich rodzinne skarby zyskają drugie życie.

Podróż przez polskie mieszkanie

Sercem naszego muzeum jest wiernie odtworzone mieszkanie z lat 90. ubiegłego stulecia. To tutaj magia działa najmocniej. W salonie dumnie pręży się lakierowana meblówka, wypełniona po brzegi kryształami i ozdobnymi naczyniami, które w tamtych latach stanowiły absolutny szczyt elegancji i marzenie każdej gospodyni domowej. Tuż obok masywnego telewizora kineskopowego leży pilot – często w foliowym woreczku – oraz żelazko. To był klasyczny widok w wielu polskich domach, gdzie przestrzeń była towarem deficytowym i każdy metr kwadratowy musiał być wykorzystany do maksimum.

Wejście do kuchni – królestwa szklanek musztardówek, plastikowych chlebaków i Masmixu – to dla wielu gości prawdziwy wstrząs emocjonalny. To tutaj najczęściej słyszę: „O rany, mieliśmy identyczny mikser!” albo „Pamiętam, jak piliśmy z tych szklanek kompot u cioci na imieninach”. I właśnie o wywołanie tych emocji mi chodziło. Te przedmioty to klucze do drzwi, za którymi kryją się wspomnienia o bliskich, zapachach i chwilach, które dawno minęły.

Sekcja technologii

Kolejna sekcja muzeum poświęcona jest technologii, która w latach 90. XX w. przeszła najbardziej gwałtowną ewolucję. Byliśmy świadkami niesamowitego przeskoku od świata analogowego do cyfrowego. W naszych gablotach można prześledzić fascynującą ewolucję telefonów komórkowych – od potężnych, ciężkich cegieł, które wymagały silnego ramienia, po pierwsze kultowe, niemal niezniszczalne Nokie.

Obok telefonów prezentujemy magnetowidy – urządzenia, które zmieniły sposób, w jaki konsumowaliśmy kulturę, otwierając przed nami świat wypożyczalni kaset VHS. Jest też kolekcja walkmanów, bez których trudno było sobie wyobrazić drogę do szkoły, oraz pierwsze odtwarzacze płyt CD, które wówczas wydawały się technologią wyjętą prosto z filmu *science fiction*.

Jednak to, co sprawia największą frajdę – bez względu na wiek – to strefa retro gier. Przygotowaliśmy w pełni sprawne stanowiska z oryginalnymi konsolami. Mamy tu kultowego Pegasusa, Nintendo, Segę oraz pierwsze PlayStation. Nasi goście mogą usiąść wygodnie i zagrać



Fragmety ekspozycji i zajęcia dla dzieci w muzeum

📷 Sebastian Balcerzak





w „Mario”, „Contrę”, „Prince of Persia” czy w absolutnie hitowego w Polsce „Małysza” (Deluxe Ski Jump). To nie jest tylko zabawa – to żywa lekcja historii informatyki. Widok ojca, który z wielkim namaszczeniem tłumaczy synowi, że aby gra zadziałała, trzeba najpierw wyciągnąć kartridż i mocno go przedmuchać, to w naszym muzeum widok powszedni i niezwykle budujący.

Waluta szkolnych korytarzy i marzenia o Cinquecento

Dla pokolenia millenialsów przygotowaliśmy specjalną sekcję poświęconą zabawkom i gadżetom kolekcjonerskim. Zgromadziliśmy tu wszystko, co definiowało nasze podwórkowe życie. Są klasery pełne kolorowych karteczek do segregatorów, które kiedyś były twardą walutą na szkolnych korytarzach i przedmiotem zacieklej negocjacji. Są tazosy z Pokemonami wyciągane z paczek chipsov, figurki z jajek niespodzianek, które zbierało się latami, oraz oczywiście Tamagotchi – elektroniczne zwierzątka, o które dbaliśmy z większym poświęceniem niż o własne pokoje. Nie mogło zabraknąć także gier edukacyjnych wczesnej ery, jak słynny „Mózg Elektryczny”, który uczył nas kojarzenia faktów za pomocą świecącej żarówki.

W części poświęconej motoryzacji dumnie prezentuje się Fiat Cinquecento – prawdziwy symbol aspiracji polskiej rodziny tamtej dekady. Dla wielu z nas było to pierw-

sze fabrycznie nowe auto w domu. To właśnie takim samochodem, zapakowanym po sam dach, jeździło się na upragnione wakacje nad polskie morze, jeziora czy do rodziny na drugim końcu Polski. Obok Cieniasa zgromadziliśmy dziesiątki modeli innych pojazdów, które dominowały wówczas na naszych drogach – od Maluchów po pierwsze sprowadzone z zachodu Golfy i Passaty – tworząc barwny, nieco chaotyczny krajobraz tamtych lat.

Miejsce, które żyje

Muzeum Lat 90. to dla mnie coś znacznie więcej niż tylko zbiór martwych przedmiotów ułożonych na półkach. To przede wszystkim miejsce edukacji międzypokoleniowej i wymiany doświadczeń. Starsi odwiedzający przychodzą tu po dawkę zdrowego sentymentu i wspomnień, które wywołują łyż wzruszenia. Młodszy natomiast mają niepowtarzalną okazję zobaczyć, jak wyglądał świat bez smartfonów przyklejonych do dłoni, bez powszechnego dostępu do Internetu i mediów społecznościowych.

Zależy mi na tym, aby to miejsce tętniło życiem. Dlatego cały czas intensywnie powiększamy naszą kolekcję – niemal co tydzień do muzeum trafia coś nowego. W planach są również: regularne wydarzenia tematyczne, pozwalające jeszcze mocniej zanurzyć się w klimacie epoki; wieczorne pokazy kultowych filmów akcji i komedii z kaset VHS (z obowiązkowym lektorem!) oraz turnieje w retro gry – „Małysza” czy „Fifę 98”.

Prowadzenie tego miejsca to oczywiście wielkie wyzwanie logistyczne i organizacyjne, ale daje mi ono ogromną, trudną do opisaną satysfakcję. Każda uśmiechnięta twarz gościa wychodzącego z muzeum, każda łezka wzruszenia na widok starego, wytartego misia czy zapomnianego opakowania po gumie Donald, utwierdza mnie w głębokim przekonaniu, że warto było poświęcić te dwa lata życia na budowę tego miejsca.

Lata 90. minionej epoki były kolorowe, czasem kiczowate, pełne kontrastów i szumu informacyjnego, ale przede wszystkim pełne nadziei, autentyczności i wiary w to, że świat stoi przed nami otworem. Zapraszam więc wszystkich bardzo serdecznie do Bielska-Białej, na ul. Damrota 10. Przyjdźcie do nas, by choć na chwilę zwolnić bieg, wyłączyć powiadomienia w telefonie i wrócić do czasów, gdy największym zmartwieniem było to, że bateria w walkmanie właśnie się wyczerpała w połowie ulubionej kasyety.



Kasety VHS, retro gry i Fiat Cinquecento

📷 Sebastian Balcerzak



Marek Bernacki

Nigdy nie jesteśmy za starzy na bajki

Kocia Szajka to ekipa sympatycznych czworonogów o statusie egzystencji fikcyjno-realnej. W jej skład wchodzi koty obu płci: Morfeusz, Bronka, Poziomka, Komandos, Hortensjusz, bracia Piksele, Lolka. To bohaterowie poczytnej serii książek dla dzieci autorstwa Agaty Romaniuk, socjolożki, pisarki, kocistki. Ale, co ciekawe, te koty istnieją naprawdę, choć w zdecydowanej większości nie mieszkają w Cieszynie.

Agata Romaniuk z Precelkiem
w Interaktywnym Centrum
Bajki i Animacji OKO
w Bielsku-Białej
📷 Facebook/Kocia Szajka

Kwestię pochodzenia kocich postaci autorka na antenie radiowej Trójki wyjaśniła tak: „To wszystko są koty adopciaki – prawdziwe koty, którym ktoś dał dom. Improwizowałam kiedyś bajkę kryminalną o kotach i poprosiłam dzieci z całej Polski, aby powiedziały, jak się ich koty nazywają. I rzeczywiście Komandos i Lola to jest rodzeństwo w prawdziwym życiu, Piksel jest jeden i mieszka w Ustanowie, kotka Bronka mieszka w Cieszynie, Morfeusz jest z Łodzi, a Hortensjusz mieszka w Warszawie na Pradze. Ale w książce wszystkie mieszkają razem w kryjówce Kociej Szajki. I kolejne koty, które dołączają do Kociej Szajki, też są prawdziwe”.

6 grudnia 2023 r. w Cieszynie uroczystie otwarto Szlak Kociej Szajki, samodzielnie wymyślony i zainaugurowany przez Agatę Romaniuk, która osobiście oprowadziła po uliczkach piastowskiego grodu liczną grupę polskich i czeskich dzieci. W udzielonym wówczas „Głosowi” wywiadzie wyznała: „Do Cieszyna przyjeżdżałam jako mała dziewczynka, w nagrodę. Zakochałam się w Cieszynie wiele lat temu i teraz ta miłość jest odwzajemniona. Ten szlak to mój pomysł. Postanowiłam wyciąć koty, które są bohaterami książki, znalazłam



osobę, która to zrobiła, a miasto porozumiało się z konserwatorem zabytków”.

Trasa rozpoczyna się przy Studni Trzech Braci, gdzie Kocia Szajka ma swoją kryjówkę (informuje o tym specjalna tablica nad zabetonowanym piwnicznym okienkiem). Sylwetki kotów można znaleźć również: na ścianie budynku, w którym mieści się Kawiarnia „Kornel i Przyjaciele”, przy sklepie ze śledziami na ul. Głębokiej, przed wejściem do Kina „Piast” czy siedziby stowarzyszenia „Serfenta”, w Bibliotece Miejskiej, na schodach przy Młyńskiej Bramie oraz Kawiarni „Tramwaj Cafe”.

Moja przygoda z Kocią Szajką

Zaczęła się czasach pandemicznych. Wiosną 2021 r. wybrałem się wraz z rodziną na wycieczkę do Cieszyna. Wstąpiliśmy m.in. do Kawiarni „Kornel i Przyjaciele”, gdzie wśród eksponowanych na ladzie książek wypatrzyłem kolorową, przyciągającą wzrok okładkę. Był to pierwszy tom poczytnej dziś serii książek dla dzieci – *Kocia Szajka i zagadka zniknięcia śledzi*. Zachęcony do lektury zgrabnie zredagowanym streszczeniem i oryginalną szatą edytorską nabyłem rzeczoną książkę.



W ciągu pięciu lat, które minęły od tamtej chwili, podobną czynność powtarzałem jedenastokrotnie i – jak sądzę – na tym nie koniec!

Zaraz po powrocie do Bielska-Białej razem z córcią Elą (wówczas niespełna sześciolletnią dziewczynką, uczennicą pierwszej klasy szkoły podstawowej) zatoniliśmy się w lekturze cieszyńskiego „kryminału z pazurem”. Zagadkową historię o skradzionych śledziach, niesfornym i przekupnym Karolku (synu pani Macurowej, właścicielki obrabowanego sklepu) oraz zawistnym i podstępным Engelbercie Nogawicy, sprawcy przestępstwa (a zarazem kierowniku garmażerii u wylotu ul. Głębokiej) przeczytaliśmy w niespełna pół godziny z wypiekami na twarzy! Poza wgłębianiem się w ciekawie skonstruowaną fabułę, wielką frajdę sprawiało nam przeglądanie ilustracji oraz kilkakrotne powracanie do galerii bohaterów i mapy Cieszyna. Kiedy dotarliśmy do ostatniej strony, z ogromną ulgą przyjęliśmy do wiadomości, że sprawca niecnego czynu – dzięki sprytowi Kociej Szajki oraz determinacji komisarza Psoty i jego asystentki Walerki Koczy – został przyskrzyniony, Karolek najadł się wstydu, a mieszkańcy Cieszyna odetchnęli z ulgą i już następnego dnia mogli kupić ulubione kanapki ze śledzikiem.

Do tej pory ukazało się jedenaście książek z przygodami Kociej Szajki¹. Akcja czterech pierwszych oraz szóstej rozgrywa się w Cieszynie. W tomie piątym przenosimy się wraz z kocimi detektywami do Torunia; w siódmym pisarka zabiera nas na wyprawę do magicznej Wenecji, a w ósmym powracamy na południe Polski – tym razem do Bielska-Białej. W dziewiątej z serii książce czytelnicy zjeżdżają wraz z bohaterami pod ziemię – do zabrzańskiej kopalni węgla kamiennego „Guido”. Akcja dziesiątej opowieści rozgrywa się letnią porą nad Bałtykiem – w Sopocie i Szczecinie, a jedenastej (jak na razie ostatniej!) w czeskiej Karwinie.

Koci detektywi w dwumieście nad Białą

Akcja ósmej z serii książki *Kocia Szajka i zaginione bajki* zaczyna się w Cieszynie, gdzie na jednym z boisk czworonożni bohaterowie rozgrywają mecz piłki nożnej. Ich przeciwnikami są koty z Czeskiego Cieszyna. Kocia Szajka prowadzi 1:0, ale ze względu na złe warunki pogodowe sędzia przerywa mecz i koty wracają do swej siedziby w piwnicy przy ul. Trzech Braci. Ponieważ kot Precelek nie może zasnąć, Morfeusz zachęca go do obejrzenia bajek z Reksiem. W jednym z odcinków obok tytułowego bohatera pojawia się rudy kot, w którym Morfeusz rozpo-

znaje swojego zaginionego dawno temu ojca! Kotka Lola, widząc smutek w oczach przyjaciela, proponuje wyjazd do Bielska-Białej i wizytę w Studiu Filmów Rysunkowych.

Jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem, Kocia Szajka dociera do studia i mimo niedzielnej pory spotyka się z dyrektorem Szyszka. Nazajutrz koty poznają innych pracowników i na prośbę Morfeusza uczynna panna Dosia obiecuje odnaleźć w przepastnym magazynie studia jego ulubioną bajkę pt. *Reksio magik*. Niestety, poszukiwania puszek z taśmą nie przynoszą pożądanego rezultatu. Co więcej, okazuje się, że brakuje jeszcze dziewięciu innych filmów. Dla dyrektora Szyszki sprawa jest oczywista – bajki z Reksiem zostały skradzione. W tej sytuacji członkowie Kociej Szajki bez chwili namysłu postanawiają wyjaśnić przyczynę zaginięcia archiwalnych filmów o psim superbohaterze.

Topografia Bielska-Białej w tomie *Kocia Szajka i zaginione bajki* przedstawiona została wiernie, choć szkicowo. Czytelnik wędruje z Kocią Szajką przez dwumieście, w czym pomaga mu kolorowa mapka zamieszczona na końcu książki. Bohaterowie docierają do takich miejsc, jak fontanna nad rzeką Białą, gdzie znajduje się pomnik Reksia; bielska starówka z odsłoniętą przez archeologów dawną studnię miejską i barem „Pierozek”; katedra św. Mikołaja; wiodące ku Zamkowi Książąt Sułkowskich uliczki Schodowa i Kościelna; Teatr Lalek Baniałuka; cukiernia „Delicje” przy Placu Bolesława Chrobrego.

Walory literackie i edukacyjne serii

Należy pochwalić piękny styl, w jakim napisane zostały wszystkie opowieści. Polszczyzna Agaty Romaniuk jest nienaganna, potoczna i barwna. Autorka w ciekawy sposób łączy ze sobą poszczególne wątki, prowadząc zapętłone perypetie do szczęśliwego rozwiązania. Umiejętnie posługuje się ironią, od czasu do czasu wplatając dowcipne zwroty gwarowe. Patent na posługiwanie się gwarą cieszyńską ma tylko jedna kocia postać – Bronka od Cieślarów. Pierwsze wypowiedziane przez nią słowa – lakoniczna odpowiedź na propozycję przywódcy Kociej Szajki Komandosa, by zorganizować w końcu jakiś napad – brzmią: „W dekiel ci pizło?” Oczywiście, zaraz po tych słowach, które nie każde dziecko zrozumie, narrator wyjaśnia, że urodzona w Cieszynie Bronka używa gwary, zawsze gdy ponoszą ją nerwy.

Innym ważnym aspektem *Cats Stories* jest ich realistyczno-baśniowy charakter. Co istotne, akcja wszystkich przygód Kociej Szajki rozgrywa się w świecie rzeczywistym – na ulicach, placach czy zaułkach realnie

W Cieszynie: na szlaku Kociej Szajki i spotkanie z autorką serii

📖 Archiwum prywatne Marka Bernackiego



istniejących, wspomnianych już wcześniej miast. Pisarka nie ucieka w świat wybujałej fantazji czy magii, nie tworzy odrealnionych przestrzeni alternatywnych, jakichś dziecięcych odmian *fantasy*. O baśniowym, a raczej bajkowym charakterze jej książek decyduje obecność zwierzęcych, przede wszystkim kocich, bohaterów, którzy funkcjonują w świecie realnym na równych prawach z ludzkimi protagonistami. „Pani Wieczorynka” odchodzi więc od schematu klasycznej bajki, w której zwierzęta (np. lisy, kruki, żółwie, lwy, wilki) pełniły funkcję alegoryczną, a ich dobre lub nieczne działania obrazowały cnoty i przywary ludzkiej natury. Członkowie Kociej Szajki zachowują się jak ludzie, z którymi chętnie przebywają i współpracują przy rozwiązywaniu kolejnych kryminalno-detektywistycznych zagadek.

Oryginalnym pomysłem jest wyposażenie czworo- nożnych bohaterów w umiejętności praktycznego korzystania z technologicznych gadżetów – *signum temporis*. Kotom nieobce są media: radio i telewizja. Biegłe posługują się smartfonami, tabletami, a także „kocim internetem”, w którym – a jakże! – działa przydatny w tropieniu przestępców kanał CatTube.

Poza klarownością narracji i elegancją stylu, godne docenienia jest tło plastyczne. Śmiało można powiedzieć, że ikonotekstualność to znak rozpoznawczy książek o Kociej Szajce. Ilustracje autorstwa Malwiny Hajduk-Kawalec (absolwentki wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych oraz amerykańskiego University of Tennessee of Art) są kolorowe i wyraziste – pięknie wykonane. Na początku każdej publikacji artystka prezentuje galerię postaci występujących w danej opowieści, co ułatwia młodym czytelnikom utożsamienie się z bajkowymi bohaterami. Z kolei na końcu odnajdziemy zawsze plan miasta, w którym toczy się akcja. Tego typu zabieg pełni nie tylko funkcję poznawczą, ale też wychowawczą. Bez wątplenia wzbudza u dzieci i młodzieży zainteresowanie lokalną przestrzenią – „małą ojczyzną”, zachęca do wyjścia z domu, porzucenia (przynajmniej na jakiś czas) smartfonów, tabletów, laptopów, i ruszenia śladami kocich bohaterów. O tym, jak ważna jest naturalna aktywność fizyczna w świecie zdominowanym przez nadmiar toksycznej technologii cyfrowej (prowadzącej m.in. do uzależnień, chorób psychicznych, otyłości)², nikogo już dzisiaj nie trzeba przekonywać!

Fenomen kulturowy

Warto zaznaczyć, że seria o Kociej Szajce w ciągu zaledwie pięciu lat od pierwszej publikacji odniosła sukces

nie tylko literacko-wydawniczy. To swoisty fenomen kulturowy, łączący pasje czytelnicze, artystyczne, marketingowo-designerskie, modowe, gamingowe, geograficzne i krajoznawczo-turystyczne! Od momentu pojawienia się książki *Kocia Szajka i zagadka zniknięcia śledzi* Cieszyn stał się mekką miłośników literatury dziecięcej, do której podążają całe rodziny z kraju i zagranicy (sam jestem jednym z nich); relacje z tych wypraw, można znaleźć na portalach społecznościowych. Matecznikiem literackiej serii stała się Kawiarnia „Kornel i Przyjaciele”, gdzie kupić można wszystkie tomy i gdzie od czasu do czasu gości sama pisarka.

Otwierając cieszyński Szlak Kociej Szajki, autorka zapowiedziała, że w planach są również: serial animowany, ubrania, musical. W zeszłym roku w dniach 29–31 sierpnia odbył się po raz pierwszy Kocia Szajka Fest. Wśród atrakcji znalazły się m.in. wypłacanie najdłuższego kociego ogona, malowanie łapkami z kotem Precelkiem, kocia joga z Lolą, kocioszajkowy quiz, filcowanie myszek, spacer po Cieszynie z „Panią Wieczorynką” i warsztaty z ilustratorką Malwiną Hajduk-Kawalec. W tym roku druga edycja kociego festiwalu będzie miała miejsce w dniach 21–26 sierpnia i to w dwóch miastach – Cieszynie i Bielsku-Białej.

Jak zatem widać, wymyślona przez Agatę Romaniuk seria książek o Kociej Szajce to typowy dla naszych czasów przykład dzieła w toku (*work in progres*), które rozrasta się niczym bujne kłącze w rozmaitych kierunkach, opanowując coraz to nowsze terytoria w świecie realnym i wirtualnym.



¹ Poza już wymienioną są to: *Kocia Szajka i ucho różowego jelenia* (2021), *Kocia Szajka i napad na moście* (2021), *Kocia Szajka i duchy w teatrze* (2021), *Kocia Szajka i fałszerze pierników* (2022), *Kocia Szajka i klątwa starego kina* (2023), *Kocia Szajka i gondola przemytników* (2023), *Kocia Szajka i zaginione bajki* (2024), *Kocia Szajka i czarne złoto* (2024), *Kocia Szajka i Baszta Siedmiu Płaszczy* (2025), *Kocia Szajka i pożar na zamku* (2026).

² W 2022 r. kanadyjski pisarz, publicysta i aktywista Cory Doctorow użył słowa „gównowacenie” (ang. *enshittification*), które weszło już do języka naukowego. Według Doctorowa „gównowacenie” (czyli obniżanie jakości produktów oraz usług internetowych z powodu chęci zysków) to integralna praktyka wielkich aktorów (Big Techów) późnego cyfrowego kapitalizmu: „Oto jak umierają platformy: najpierw są dobre dla swoich użytkowników; potem ich wykorzystują, by być dobrymi dla swoich klientów biznesowych; na koniec wykorzystują tych klientów, by odzyskać całą wartość dla siebie. A potem umierają” – cyt. za: M. Wilkowski, *Czy Internet ma przyszłość* [w:] „Tygodnik Powszechny” 2026, nr 7, s. 12.



Bajkowy mural w Bielsku-Białej
 Agnieszka Miklar



W Galerii Sztuki ROK dd 9 lutego do 31 marca prezentowana była pokonkursowa wystawa biennale *Święci patroni Polski. Tysiąc lat od koronacji Bolesława Chrobrego*, łącząca sztukę, duchowość i historię. Zwiedzający zobaczyli mogli przedstawiające m.in. Matkę Boską, św. Wojciecha, św. Stanisława, św. Andrzeja obrazy na szkle takich twórców, jak Marta Walczak-Stasiowska z Zakopanego, Katarzyna Janik z Żywca, Maria Ptaszek z Wilkowic czy Zdzisław Słonina ze Świątnik Górnych, oraz rzeźby Bogumiły Leśniak z Suchej Beskidzkiej, Bolesława Ścigi z Andrychowa, Jana Uścimiaka z Chelma. W konkursie wzięło udział 18 malarzy na szkle (w sumie 30 prac) oraz 22 rzeźbiarzy (23 prace). Grand Prix otrzymała Bogumiła Leśniak za rzeźbę *Święte tysiąclecie Polski*. Biennale *Święci patroni Polski* to inicjatywa, która od lat przybliża bogactwo polskiego dziedzictwa kulturowego, promuje twórców ludowych i inspirowała do artystycznych poszukiwań. Edycja 2025 po raz kolejny pokazała, że sztuka tradycyjna wciąż ma ogromną siłę wyrazu i potrafi gromadzić wokół siebie liczne grono pasjonatów.

16 lutego w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej wręczono Nagrody Prezydenta Miasta Ikar 2025 w dziedzinie kultury i sztuki. Krzysztof Przemek, Wiesława Kobiela oraz pracownicy ROK-u: Agnieszka Miklar i Mirosław Baca otrzymali **Dyplom Honorowy Ikar 2025** za propagowanie muzyki chóralnej oraz organizację Międzynarodowego Festiwalu Chórów im. Kazimierza Fobera „Gaude Cantem”. Krzysztof

Przemek to dyrygent, nauczyciel, instruktor, organista, animator licznych wydarzeń artystycznych, dyrektor festiwalu i przeglądów na terenie Bielska-Białej oraz powiatów: bielskiego, oświęcimskiego, pszczyńskiego i cieszyńskiego (Festiwal Kolęd i Pastorałek im. Piotra Jakóba „Spotkania z Kolędą” w Ligocie, Ekumeniczne Spotkania z Pieśnią Wielkopostną „Adoramus Te Christe”, Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Trąbka”, Międzynarodowy Festiwal Chórów im. Kazimierza Fobera „Gaude Cantem”). Współpracuje z ośrodkami kultury w regionie, ze szkołami i akademiami muzycznymi w kraju, samorządami oraz podmiotami prywatnymi. Człowiek orkiestra, autentyczny społecznik, który robi to, co lubi i lubi to, co robi. Z kolei Wiesława Kobiela to nauczycielka edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej, oligofrenopedagog, długoletnia chórzystka Chóru Mieszanego „Echo”, członek Zarządu Polskiego Związku Chórów i Orkiestr Oddziału w Bielsku-Białej. Od samego początku związana z Międzynarodowym Festiwalem Chórów im. Kazimierza Fobera „Gaude Cantem” – najpierw jako pilot, a od 2008 r. w roli prowadzącej biuro festiwalowe.

26 lutego otwarto w ROK-u **Zieloną Strefę** – miejsce pełne roślin doniczkowych i książek, którymi można się wymieniać. Inicjatywę zrealizowano w ramach projektu „EKOLIDERKI – wzmocnienie procesu sprawiedliwej transformacji Śląska”, którego realizatorem jest Regionalna Izba Przemysłowo-Handlowa w Gliwicach w partner-

stwie z Instytutem ADN spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k., dofinansowanego ze środków Funduszy Europejskich dla Śląskiego 2021–2027 (Fundusz na rzecz Sprawiedliwej Transformacji).

Podczas ferii zimowych ROK zaprosił dzieci i młodzież na warsztaty z malarstwa na szkle, tworzenia góralskich mandor, czyli szmacianych kuciek, oraz filcowania owczej wełny. Zajęcia przeprowadzili: Aneta Rybarska z bielskiego ROK-u, Beskidzki Dom Zielin „Przytulnia” i Folsz z Brennej. Zajęcia cieszyły się dużym zainteresowaniem, a uczestnicy i uczestniczki warsztatów zdobyli wiedzę na temat lokalnych tradycji, technik artystycznych oraz znaczenia sztuki ludowej w kontekście tożsamości kulturowej regionu.

W Milówce, w Galerii Dziadów Noworocznych i Szlachciców, 26 lutego odbyło się uroczyste podsumowanie przeglądu grup obrzędowych występujących w plenerze podczas 57. „Żywieckich Godów”. W spotkaniu wzięli udział kierownicy i przedstawiciele Dziadów Noworocznych i Jukacy, dyrektor bielskiego ROK-u Aneta Legierska-Bujok, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Milówce Grażyna Kąkol, jak również Agnieszka Chrudzimska, koordynatorka imprezy z ramienia ROK-u i Anna Zawada, koordynatorka z ramienia GOK-u. Laureatom plenerowego przeglądu oraz konkursu trzaskania z bąbą wręczono dyplomy, wymieniono się uwagami, spostrzeżeniami oraz pomysłami na kolejne edycje imprezy.

1 marca w Centrum Usług Społecznościowych w Łękawicy z okazji 100. urodzin odbył się **benefis Józefa Hulki**, podczas którego złożono artyście hołd wdzięczności za wkład w budowanie tożsamości i wrażliwości estetycznej kolejnych pokoleń. Bez wątpliwości twórczość, pasja i niespotykane zaangażowanie Józefa Hulki – znakomitego malarza, rzeźbiarza, twórcy gwiazd kolędniczych, masek, szopek kuciekowych – na trwałe wpisały się już w historię polskiej sztuki ludowej. Z rąk Doroty Ząbkowskiej, radcy ds. ochrony i rozwoju twórczości ludowej w Departamencie Narodowych Instytucji Kultury MKiDN, artysta otrzymał Złoty Medal „Za-



📷 Paweł Sowa/Wydział Prasowy UMBB

📷 Robert Garstka

służony Kulturze Gloria Artis”, nadany przez ministrę Martę Cienkowską. Dzień wcześniej w Muzeum Miejskim w Żywcu otwarto współorganizowaną przez ROK wystawę jubileuszową pn. *Józef Hulka i jego przyjaciele. W 100. rocznicę urodzin*. Trwającej do końca kwietnia wystawie towarzyszyła publikacja pod tym samym tytułem.

W Galerii Sztuki ROK 20 marca otwarto dwie wystawy: ceramiki artystycznej Marcina Kuszynskiego (duża sala) oraz fotografii Emilii Grali (mała sala). Dla pierwszego artysty ekspozycja *Z głębi* była debiutem wystawienniczym. Jak czytamy w katalogu: „Marcin od młodości dysponował łatwością operowania realistycznym rysunkiem, szkicował portrety, przymierzał się do studium z natury i malarstwa. Dopiero jednak ceramika, od 2024 roku obecna w jego praktyce artystycznej, okazała się medium, z którym jego wewnętrzny świat zaczął rezonować”. I tak na wystawie pojawiły się „nieregularne wazy przypominające morskie organizmy, muszle o otchłannych otworach i wyolbrzymionych kolcach, węzowe spłoty, ośmiornice, smoki i potwory, walczący mnich czy budzące grozę kręgi czaszek”. Z kolei na drugą wystawę, zatytułowaną *Przenikanie*, złożyły się czarno-białe zdjęcia, przedstawiające „przechodzenie” do innego świata. Emilia Grała przygodę z aparatem zaczęła kilkanaście lat temu – jest amatorką i samoukiem, zdjęcia

📷 Małgorzata Frątczak



robi instynktownie. Na co dzień pracuje w bielskiej Galerii Fotografii B&B, przebywając wśród wartościowych i inspirujących fotografii. Obie wystawy można było oglądać do 30 kwietnia.

33 Konkurs na Palmy Wielkanocne w Gilowicach odbył się 29 marca. Jury w składzie: Teresa Kurzyk, Wanda Hajok, Dariusz Kocemba, Agnieszka Chrudzimska oceniła 102 palmy, przyniesione przez mieszkańców gminy Gilowice, a także gości do poświęcenia podczas uroczystości Niedzieli Palmowej. W kategorii palm małych, prezentowanych przez dzieci do lat 7, przyznano 20 równorzędnych specjalnych wyróżnień. Pierwsze miejsca w kategorii palm drzewkowych (rozłożystych) otrzymali *ex aequo*: Julia Boboń, Dominika i Józef Górny, Agata Łoboda, Natalia Pudełko i Natalia Wnętrzak, Eliza Biernatek, Magdalena Okrzesik; zaś w kategorii palm wysokich (kawalerskich) – Stowarzyszenie „Klub Seniora w Gilowicach”, Paweł i Karol Bochnak, Antoni i Wojciech Stankiewicz, Antonina i Jan Bryś, Tobiasz Frymarkiewicz i Błażej Pasko (Podłazy z Żywca), Sebastian Kastelik (RZ Dolanie), Mateusz Pochopień (RZ Dolanie), Jakub Cwajna, Mikołaj i Milena Wojciuch, „Aktywni Seniorzy Gminy Gilowice”, Maja i Hanna Cacak, Błażej i Weronika Ścieszka, Tomasz i Dominik Gąsiorok, Maksymilian Michatek i Tymoteusz Wątroba. W kategorii palm bukietowych (babskich) wyróżniono 15 uczestniczek. Konkurs poprzedziły warsztaty tworzenia bibułek kwiatów i palm wielkanocnych, które odbyły się zarówno w gilowickim GOK-u (17, 19, 25–27 marca), jak i bielskim ROK-u (23 i 25 marca).

W Światowym Dniu Świadomości Autyzmu 2 kwietnia ROK przyłączył się do kampanii społecznej „Zaświeć się na niebiesko dla autyzmu”, oświetlając swój gmach w geście solidarności z osobami autystycznymi i ich rodzinami.

Przygotowane przez ROK eliminacje rejonowe **71. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego** przeprowadzono 22 kwietnia w Domu Kultury im. Wiktorii Kubisz w Bielsku-Białej. Jury w składzie Marta Gzowska-Sawicka, Janusz Legoń, Bogusław Słupczyński po wysłuchaniu i obejrzeniu wszystkich występów przyznało nagrody i wyróżnienia. Pierwsze miejsce w turnieju recytatorskim młodzieży otrzymała Patrycja Szkredka, drugie – Anna Bartosiewicz, trzecie – Zofia Fuczik. W turnieju wywiedzione ze słowa wyróżniono Andrzeja Makulca, a w turnieju teatrów jednego aktora – Igę Barcik. Drugie miejsce w turnieju poezji śpiewanej zdobyła Róża Styrnol. Wyłonieni laureaci wzięli udział w eliminacjach wojewódzkich, które odbyły się 9 maja w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej i również zostały zorganizowane przez bielski ROK. Komisja konkursowa – Anna Kadulska, Krzysztof Maciejowski, Antoni Rot – pierwszymi lokatami nagrodziła: Kingę Klimczak (turniej recytatorski młodzieży), Zuzannę Bulę (turniej wywiedzione ze słowa), Martynę Gięłtowską (turniej poezji śpiewanej), Maję Przybyszewską (turniej teatrów jednego aktora). Wyżej wymienieni laureaci oraz Patrycja Szkredka, Andrzej Makulec i Aleksandra Głowa zostali zakwalifikowani do finału 71. OKR.

📷 Daniel Franek

Sejmik Województwa Śląskiego ogłosił rok 2026 Rokiem Górali i Obrzędów Pasterskich, podkreślając historyczne znaczenie tradycyjnego pasterstwa oraz jego współczesną rolę w ochronie krajobrazu, bioróżnorodności i dziedzictwa kulturowego. Rok 2026 jest też ustanowionym przez ONZ Międzynarodowym Rokiem Pastwisk i Pasterzy. Pełen wydarzeń opowiadających o wypasie kulturowym i pasterskich tradycjach Rok Górali i Obrzędów Pasterskich został zainaugurowany 20 kwietnia podczas XXV sesji. Dzień wcześniej, 19 kwietnia, w Rychwałdzie uroczystie otwarto **Sezon Pasterski 2026** – po nabożeństwie w sanktuarium maryjnym stado owiec zostało poświęcone, a każdy baka otrzymał szczapę drewna do rozpalenia watry w swojej baczce. Wydarzeniu towarzyszył szereg atrakcji artystycznych (występy kapel i zespołów ludowych, wspólne śpiewanie, sprzedaż i warsztaty rękodzielnicze) oraz kulinarnych (regionalne potrawy, zioła). Wręczono również umowy na realizację zadań w ramach wojewódzkiego programu „Owca Plus”. W zakresie zadania ochrony przyrody i krajobrazu dofinansowanie otrzymały cztery fundacje na łączną kwotę 849 996 złotych, z kolei w obrębie zadania polegającego na promocji programu dotacje na w sumie 129 871 złotych zdobyło 12 podmiotów. W realizację programu w Beskidach zaangażowanych będzie około 20 baczów, wypasanych będzie 4573 owiec i 194 kozy na 922,22 hektarach hal.



Kwartalnik „Relacje–Interpretacje” objął patronat medialny nad: prezentującą prace Pauliny Poczętej i Małgorzaty Łuczyny wystawą *Przedpokój. Herstories* oraz ekspozycją *Ukorzenie* Pawła Matyszewskiego w Galerii Bielskiej BWA (15 kwietnia – 31 maja 2026); zorganizowanym przez Centro Italiano di Cultura w Bielsku-Białej koncertem Gg Cifarelli: *Compositions International & Italian Jazz Melodies* (18 kwietnia) oraz 22. Międzynarodowym Festiwałem Orkiestr Dętych „Złota Trąbka” w Bielsku-Białej, Jasienicy, Czechowicach-Dziedzicach i Kozach (5–7 czerwca 2026).

Rozwiązanie bielsko-białskiej szarady z poprzedniego numeru: Kreatywność to inteligencja, która dobrze się bawi.

(oprac. AM)

Komitet Koordynacyjny TKB na czele z Przewodniczącą Anetą Legierską-Bujok i Dyrektorem Programowo-Artystycznym Magdaleną Koim zaprasza na **63. Tydzień Kultury Beskidzkiej**, który odbędzie się w dniach od 25 lipca do 2 sierpnia 2026 r. w Wiśle, Szczyrku, Żywcu, Makowie Podhalańskim, Oświęcimiu, Ujsołach, Jabłonkowie, Istebnej i Bielsku-Białej. Dziewięć dni koncertów, ulicznych korowodów, targów sztuki ludowej, wystaw, warsztatów, potańcówek, spotkań. Blisko 100 zespołów – z różnych regionów Polski i zza granicy (w tym z Europy i Ameryki). Szczegółowy program wydarzeń oraz transmisje 57. Festiwalu Folkloru Górali Polskich i 35. Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych na stronie www.tkb.art.pl, jak również [f](https://www.facebook.com/TydzienKulturyBeskidzkiej) TydzienKulturyBeskidzkiej. Otwórz się na folklor!

OTWÓRZ SIĘ NA FOLKLOR!

63. Tydzień Kultury Beskidzkiej

Wisła - Szczyrk - Żywiec - Maków Podhalański - Oświęcim
Ujsoły - Jabłonków - Istebna - Bielsko-Biała

25 lipca – 2 sierpnia 2026



Sławomir Dobija

Z pasji do techniki
i rękodzieła Alicja Młyniuk/BO Studio

Sławomir Dobija – rocznik 1969, mieszkaniec Straconki, dzielnicy Bielska-Białej. Wykonuje gwiazdy kolędnicze, szopki i ruchome postaci prezentujące m.in. ginące zawody (jak np. kowal, szewc, garncarz) czy ludzi podczas pracy, zabawy, codziennych czynności. Jak sam mówi, tworzy od przedszkola, gdzie po raz pierwszy zrobił z plasteliny figurki Kaczora Donalda i Myszki Miki. Fascynuje go myśl techniczna, a inspiracje czerpie dosłownie ze wszystkiego. Kiedy wpadnie mu do głowy pomysł, musi od razu przystąpić do działania (nawet o drugiej w nocy!). Mało kto wie, że za domem rodzinnym własnymi rękoma zbudował góralską chatkę, w której oprócz jego prac zobaczyć można ludowe zabawki, instrumenty, maski dziadowskie i wiele innych artefaktów rodem z Beskidów. To właśnie tutaj prowadzi warsztaty dla dzieci – uczy, jak zrobić gwiazdę kolędniczą, królika z drewna czy upiec chleb. To właśnie tutaj wpadają znajomi górale z pogranicza Polski, Czech i Słowacji.









Paulina Poczęta i Małgorzata Łuczyna
Przedpokój. Herstories

Galeria Bielska BWA, Bielsko-Biała 2026

📷 Krzysztof Morcinek

